ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK IX. Nr 27 (419)

NIEDZIELA, 3 LIPCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

PISMO I JEGO REDAKTORZY

Chciałbym poruszyć dzisiaj sprawę, która zawsze jest pasjonująca, ale która po dwakroć jest ciekawa w takich okolicznościach, w jakich żyjemy obecnie. Mówiąc o okolicznościach, mam na myśli, po pierwsze, fakt życia na emigracji, bez własnej ziemi, bez własnego zwartego społeczeństwa wokół siebie, oraz po drugie, fakt życia w epoce wielkich przemian. Obydwa te czynniki sprawiają, iż wiele spraw dla nas zwłaszcza Polaków wybitnie się kondensuje i zaostrza.

Zaś sama sprawa, którą pragnę poruszyć, to zagadnienie stosunku czytelnika do prasy, oraz zagadnienie funkcji prasy w polskim środowisku emigracyjnym. W społeczeństwie naszym zawsze żyły i żyją nadal ostre inklinacje „pisarskie", ostrzejsze niż w wielu innych społeczeństwach. Równocześnie jednak można z tą samą słusznością powiedzieć, że żyje w naszym społeczeństwie inklinacja inna jeszcze z tego zakresu, inklinacja gazetomanii. Anglicy powiedzieli o nas w czasie wojny, że gdzie trzech Polaków się zejdzie, na drugi dzień po spotkaniu zakładają pismo. Coś w tym jest. Namiętnie lubimy wygłaszać długie, pustawe przemówienia, pisać trzynastozgłoskowcem sążniste poematy i redagować pisma. To widać taka cecha narodowa, która — powiedzmy to otwarcie — obok stron śmiesznych i szkodliwych, ma sporo stron dodatnich. Na przykład inklinacje grafomańskie jednak są znakiem zainteresowania się — być może, negatywnego — kulturą i jej sprawami.

Jakaż tedy potrzeba powoduje ukazywanie się tak wielu pism polskich? Czego czytelnik polski oczekuje po swoich pismach? Jaki wpływ istotny wywiera prasa na kształtowanie się pojęć swego czytelnika?

Wydaje mi się, że dwa stwierdzenia są tu przede wszystkim potrzebne. Pierwsze, że pismo — zgodnie z podstawowym ogólnym prawem socjologicznym zagadnień prasowych — jest w społeczeństwie ludzkim na pierwszym miejscu klapą bezpieczeństwa psychicznego, wyzwolicielem energii i jej katalizatorem. Poszczególne gazety czy periodyki mogą sprawiać wrażenie zupełnie odmienne, mogą specjalizować się w informacji, mogą to być pisma sensacyjne, brukowe, czy gola reklamowe — w istocie rzeczy jednak przyczyna pierwsza, dla której następuje tak olbrzymi rozwój prasy na świecie, zasadza się na dążeniu człowieka, aby móc publicznie wygadać się, aby rzeczy myślane po cichu mogły wyobiektywizować się w kształcie drukowanym.

Po drugie zaś, trzeba stwierdzić, że w konsekwencji pierwszego założenia pismem nie kieruje, nie redaguje go redaktor, czy zespół redaktorów, ale redagowane są one wspólnie przez redakcję i czytelników. Proporcje tych dwóch wpływów są — rzecz prosta — różne w różnych wypadkach, od pism ezoterycznych wydawanych dla koła kilkunastu ludzi, do pism brukowych, w których milionowe masy czytelników decydująco i apodyktycznie wpływają na kierunek pisma i dobór materiałów. Z tym wszystkim nie ma jednak żadnego pisma, w którym by odbiorca nie miał swego, mniejszego czy większego udziału i wpływu na sposób i kierunek redakcji.

Transponując te założenia na stosunki polskie, wiadomo więc, że gazetomania polska płynie z ostrzejszej niż gdzie indziej inklinacji i potrzeby dyskutowania spraw publicznych, oraz że polski czytelnik stawia swoim pismom szereg kategorycznych żądań, domagając się swego na drukowane teksty wpływu.

Jakiego tedy wpływu żąda? I do jakich granic przyznanie mu go nie podważa samego sensu wydawania pisma, jako organu o określonym światopoglądzie i celu?

Warto było mieć wolny czas w ciągu ubiegłego roku, by móc dokładnie śledzić sposób, w jaki zmienna i skłócona polska sytuacja wewnętrzna odbijała się na korespondencji przychodzącej do obu naszych pism tygodniowych. Socjolog społeczeństw emigracyjnych miałby tu wiele pierwszorzędnego materiału. Czegóż od tych redakcji nie chciano? Przede wszystkim żądano — od razu z kilku stron — aby pisma stały się narzędziami k a ż d e g o z istniejących ogniw politycznych. Gdy się te żądania, w niektórych wypadkach przy użyciu wszystkich możliwych interwencji, nie udawały, zaczęły przychodzić do redakcji listy z krytyką, z połajankami, a z pewnych środowisk nawet z pogróżkami. Były dnie, kiedy listy krytyczne przychodziły równocześnie z dwóch czy z trzech przeciwnych sobie ośrodków politycznych.

Gdy takie listy przychodziły bezpośrednio od polityków, szkoda była niewielka, wiadomo, chodziło o zwykły nacisk. Ale zdarzały się listy od zwykłych czytelników, którzy w najlepszej wierze namawiali na to, czy na tamto. I to było rzeczywiście przykre.

Przykre dlatego, że taki fakt oznaczał, iż w społeczeństwie panuje chaos pojęciowy na temat zadań prasy. Tym, którzy takie listy pisali, nie przychodziło do głowy, iż w tych redakcjach siedzą nie automaty przecież, nie roboty, nie yes-meni, ale żywi ludzie. Ludzie, którzy poszli do zawodu dziennikarskiego nie dlatego, iż nie mogli uczepić się żadnego innego, ale dlatego, że w tej pracy widzą swoją służbę społeczną. Ci ludzie na równi z całą społecznością emigracyjną głęboko przeżywają kryzys polityczny, widząc może wyraźniej jeszcze od innych rozmiar szkód, jaki on sprawie polskiej przynosi. A przeżywając go w taki sposób, wytężają cały swój zasób wiedzy, doświadczenia i cierpliwości, aby umniejszać skutki kłótni politycznej, jakiej wszyscy jesteśmy świadkami.

Jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia, aby czytelnik pisma, czytając artykuły czy pisząc listy, widział poza zwartymi kolumnami druku — żywego, czuwającego, myślącego i odpowiedzialnego za biurkiem redakcyjnym człowieka, dla którego druk jest tylko środkiem manifestacji jego postawy moralnej i pracy umysłowej.

I tu dochodzimy do zasadniczego punktu podniesionego w tym artykule problemu. Może dziennikarz czy publicysta popełniać w swojej pracy błędy, może nie podobać się w tym co pisze tym czy owym ludziom, może nawet zawodzić swoich wiernych przyjaciół i zwolenników, którzy by woleli, aby o pewnych sprawach pisał inaczej, niż napisał. Ale jeden warunek musi spełniać bezwzględnie — musi pozostawać wierny sobie. Musi pisać, to, co czuje i myśli. Wtenczas jest użyteczny, wtenczas spełnia swoją funkcję społeczną, do której się całe życie przygotowywał.

Dobrze, ale gdzie w takim układzie jest wpływ czytelnika na pismo, o którym była mowa na początku? Jest. Jest i to miejsce, bardzo duże. Jeśli się powiedziało, że czytelnik musi widzieć poza biurkami redakcyjnymi żywych, myślących ludzi, to stokroć bardziej tenże dziennikarz musi zdawać sobie sprawę z tego, że nie wypuszcza pisma w nieokreśloną przestrzeń, pomiędzy nieokreśloną masę ludzką, ale kieruje je do żywych, konkretnych ludzi. Nie do masy ludzi, ale do indywidualnego człowieka. Co więcej, że cały i jedyny teren jego działania, to żywy, konkretny, określony człowiek, jego troski, jego problemy, jego nadzieje. Że nie wolno wychodzić mu w publicystyce poza ten zakres tematyczny, na dowolne, kaprysem dyktowane ubocza, ale musi iść środkiem najburzliwszej kipieli i szukać w niej nurtów wiodących do właściwych przystani.

Wydaje mi się, że najbardziej charakterystyczną cechą polskiej prasy emigracyjnej jest jej obecne rozchodzenie się z konkretnym życiowym odbiorców. A nie jest to jedynie łatwe stwierdzenie ku pouczeniu innych. My sami często przyłapujemy się na tym zjawisku, że najważniejsze sprawy naszego czytelnika nie są dostatecznie szybko wychwytywane i omawiane. Cała ewolucja naszych tygodników idzie od dawna ku temu, aby zbliżyć się do życia tego, dla którego one wychodzą.

W tej chwili pismo nasze czyni wszelkie wysiłki, aby coraz mniej w nim było tematów marginesowych, ubocznych, teoretycznych, coraz więcej tematów zagarnianych na gorąco z życia. Byłoby niesprawiedliwością zatajać, że w olbrzymiej mierze dzieje się to pod wpływem samego czytelnika. Do działu wydawniczego naszego Ośrodka zawsze przychodziło wiele listów redakcyjnych, ale dziś zaczyna przychodzić ich coraz więcej. To one są walną pomocą w pracy, tak jak ją chcemy rozumieć. Każdy list jest analizowany, choć nie na każdy jesteśmy w stanie odpowiedzieć bezpośrednio. Zawiązuje się najściślejsza współpraca między publicystą i jego czytelnikiem.

Tylko ona może sprostać zadaniom, jakie stawia prasie nasza wyjątkowa epoka. W jej warunkach tylko takie pismo ma szanse stania się pismem zadowalającym, w którym poprzez jego łamy spotyka się ze sobą dwóch b l i s k i c h sobie ludzi: dziennikarz i czytelnik.

J. K.

FULTON J. SHEEN

FILOZOFIA PRZYJEMNOŚCI

W październiku br. „Veritas wydaje w „Bibliotece Polskiej" przekład książki jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy katolickich, biskupa amerykańskiego Fulton J. Sheena pt. „Sursum Corda" (Tytuł angielski brzmi: „Litf up Your Heart"; odpowiednik dla wydania polskiego nie jest jeszcze ustalony). Autoryzowanego przekładu książki dokonuje Wacław Pisarczyk.

Ze znakomitego dzieła biskupa Sheena, dzieła, które jest nowoczesnym zbiorem wskazówek dla osiągnięcia pełni życia i szczęścia, drukujemy jeden z rozdziałów.

RED.

Z uwagi na to, że przyjemność stanowi najwyższy cel każdego egoistycznego sposobu życia — nie od rzeczy będzie, jeżeli poznamy niektóre z jej praw.

Sama furia, z jaką nowocześni ludzie obydwojga płci szukają przyjemności, jest najsilniejszym dowodem, że ludzie ci przyjemności nie znaleźli. Gdyby bowiem ulice naszych miast rozbrzmiewały klaksonami karetek pogotowia, gdyby szpitale zapchane były do granic możliwości, gdyby pielęgniarki zalatane były w pracy jak szalone — mielibyśmy mocny powód do podejrzeń, iż zagadnienia zdrowia jeszcze nie rozwiązano. — Przyjemność jako cel życia jest ułudą — i nikt jej nie znajdzie. Człowiek jest jednak w stanie radośnie zażywać stałych i odświeżających przyjemności pod warunkiem, że pozna ich prawa.

Oto pierwsze z nich: przyjemność jest jak piękno, którym rządzi zasada kontrastu. Jeśli kobieta, ubrana w białą suknię, posiada jakiekolwiek poczucie smaku estetycznego — to ukaże się raczej na tle białej niż na tle czarnej kotary. To samo dotyczy każdej przyjemności. Żeby się nią cieszyć, trzeba, żeby się pojawiła jako niezwykły zbieg okoliczności, jako niespodzianka. Przykładem może być w tym wypadku ten rodzaj przyjemności, która pobudza do śmiechu: zdarzenia, niezabawne na ulicy, stają się zabawne w kościele — ze względu na kontrast z powagą rytuału kościelnego. Człowiek z czapką na bakier na ulicy — nie pobudza do śmiechu, ale biskup z mitrą na bakier — na pewno do śmiechu pobudzi.

Żeby zabawa była dobrą zabawą, nie powinniśmy stale za nią uganiać. Nie ma bowiem uciechy w życiu, jeśli wszystko jest ucieszne. Nie ma przyjemności w puszczaniu bengalskich ogni w dzień święta narodowego, jeśli każdy dzień w roku jest narodowym świętem. Wielu ludzi nie znajduje przyjemności dlatego, ponieważ szukają oni tylko przyjemności. W takim trybie nie ma miejsca na kontrast, który stanowi pierwszy warunek radości. W liturgii Kościoła istnieje stały kontrast pomiędzy radością a ofiarą, pomiędzy postem a ucztą. Nawet w okresach Postu oraz Adwentu, kiedy dominuje nastrój pokuty i bólu, Kościół umieszcza niedziele Laetare i Gaudete, w czasie których mamy się radować. Czyni to Kościół przede wszystkim dlatego, żeby ludziom przypomnieć, iż pokuta nie jest rzeczą wieczną, i żeby nie dopuścić do tego, by zasklepili się w psychologicznym odrętwieniu.

Drugie prawo brzmi: żadna przyjemność nie staje się naszą trwałą własnością, dopóki nie przeszła przez moment bólu. Nikt nie wdycha powietrza po raz drugi, dopóki nie zużył pierwszego wdechu. Nie możemy rozkoszować się czytaniem łacińskich klasyków, dopóki nie przebrnęliśmy poprzez męczarnie łacińskiej gramatyki i deklinacji. Pływanie jest rozkoszą, ale dopiero po szoku pierwszego zanurzenia się w zimną wodę. Nawet radość z nieskończoności uwarunkowana jest tym prawem. Jeżeli bowiem nie ma w tym życiu Wielkiego Piątku, nigdy nie będzie Wielkanocnej Niedzieli. Jeżeli nie ma cierniowej korony, nigdy nie będzie świetlistej aureoli. Jeżeli nie ma krzyża, nie będzie nigdy otwartego grobu. Prawo to rządzi również naszymi doczesnymi sprawami: małżonkowie zaczynają odkrywać cudowną radość wspólnego pożycia dopiero wtedy, kiedy przeżyli okres pierwszych nieporozumień.

Trzecie prawo przyjemności jest następujące: każde poszukiwanie przyjemności stanowi, zasadniczo biorąc, wysiłek zmierzający do zdobycia nieskończoności. Każda przyjemność pociąga nas jedynie dlatego, iż nęci nadzieją, że — zakosztowawszy jej — znajdziemy przedsmak czegoś, co pobudzi silniejsze uczucia i przyniesie większą radość. Jeden ptak, jedna gwiazda, jedna książka — powinny wystarczyć do zaspokojenia głodu człowieka. Ale nie wystarczają. Nic nie daje nam zadowolenia, ponieważ apetyty nasze ukształtowane są w ten sposób, że łakną wszystkiego. Człowiek jest jak wielki okręt spuszczony na morze. Zbudowany w ten sposób, by mógł mierzyć się z falami — czuje się niepewnie na płytkich wodach. Żądać od niego, ażeby nie zmierzał do żadnego innego celu poza nieskończonością — znaczyłoby to unicestwiać jego naturę. Ludzka pożądliwość rzeczy dobrych większa jest, aniżeli wszystko, czym nas ten świat może obdarzyć. Cała miłość poezji jest krzykiem, jękiem, płaczem. Im bardziej wysublimowana, im bardziej prawdziwa, tym głębszy jest jej lament. Radość z osiągnięcia czegoś, za czym tęskniliśmy przez godzinę, wprawia nasz umysł w stan uniesienia. Pod wieczór jednak znów wracamy do niezmierzonego ogromu wciąż niespełnionych pragnień.

Nigdy nie możemy zaspokoić głodu nieskończoności. Ludziom, których rozczarował nadmiar uciech, nawet tym ludziom marzy się zawsze nadzieja, że gdzieś przecież znajdą źródło zadowolenia prawdziwsze od tego wszystkiego, czego dotychczas zakosztowali. Nasze poszukiwania niekończącej się nigdy miłości — nie kończą się nigdy, i nikt nie może kochać prawdziwie, jeżeli nie myśli o miłości jako o czymś wiecznym. Niektórzy z nas nie nazywają po imieniu owej nieskończoności, do

(Ciąg dalszy na str. 2)

NA ŁAMACH POLSKIEJ PRASY

SUWERENNOŚĆ I BOMBA WODOROWA

Artykuły p. Juliusza Mieroszewskiego ogłaszane w „Kulturze", poświęcone sytuacji emigracyjnej, bądź zagadnieniom międzynarodowym, wyróżniają się zazwyczaj trzeźwością analizy i oryginalnością, choć może nie zawsze trafnością swej strony programowej. Artykuł wszakże zamieszczony w czerwcowym numerze „Kultury" pt. „Polityka narodów zdeklasowanych" zawiera, obok spostrzeżeń słusznych, rozważania, z którymi trudno się zgodzić.

Tezą naczelną artykułu jest założenie, że „autentyczna suwerenność i niepodległość" może być w naszej epoce udziałem jedynie wielkich i uprzemysłowionych narodów, mających możność wytwarzania bomb wodorowych, samolotów, pocisków kierowanych i utrzymywania kosztownych laboratoriów. Suwerenne mogą być zatem tylko mocarstwa „wodorowe", tzn. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki; sytuacja małych i średnich narodów uległa pod tym względem „nie tylko pogorszeniu, lecz fundamentalnej zmianie i to zmianie nieodwracalnej". Małe narody mianowicie, jeżeli nie połączą się w „zespoły wieloobszarowe", skazane są na rolę klientów czyli satelitów wielkich potęg; autor nie mówi wyraźnie, jaką rolę wyznacza w tym systemie narodom średnim, jak Wielka Brytania, Francja, Włochy, lub też może Niemcy. Nie jest też jasne, jaki ma być stosunek do „suwerenów wodorowych" państw silnych liczebnie, lecz nieuprzemysłowionych, jak państwa azjatyckie. Przedmiotem zainteresowania autora są z jednej strony dwa mocarstwa suwerenne, z drugiej — małe narody, co jednak daje tylko fragmentaryczny obraz układu sił w epoce „wodorowej". Ale i ten fragmentaryczny obraz nie wydaje się trafny.

Miernikiem suwerenności jest dla p. Mieroszewskiego siła materialna, potencjał przemysłowy i wojenny, jakimi rozporządza państwo. Trzeba przede wszystkim ustalić, co rozumiemy współcześnie przez pojęcie suwerenności, lub, jak parokrotnie wyraża się autor, „suwerennej niepodległości", choć jest to zwrot tautologiczny. Pojęcie to od czasu, gdy powstało, tzn. od połowy wieku XVI, przeszło długą i skomplikowaną ewolucję. Suweren Bodina i Hobbesa był władcą absolutnym, związanym jedynie przykazaniami Boskimi i prawem naturalnym; dziś nikt już nie myśli o takiej suwerenności. Rozwój cywilizacji, środków komunikacyjnych, stosunków handlowych i kulturalnych powiązał między sobą i uzależnił od siebie państwa wielkie, średnie i małe, wytworzył taki splot interesów wzajemnych, wspólnych i rozbieżnych, że żadne państwo nie może postępować według zasady: tel est mon bon plaisir. Żadne, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych Ameryki i Związku Sowieckiego. Nie można przeczyć, że większa potęga materialna daje państwu, które nią rozporządza, większą samodzielność i swobodę manewru politycznego, tak było jednak zanim się rozpoczęła produkcja bomb wodorowych. Epoka wodorowa nie przyniosła praktycznych zmian w tej dziedzinie, wytworzyła, jak dotąd, jedynie paraliż wojenny obu przeciwstawnych obozów. P. Mieroszewski pisze, że jeżeli stosunek potencjałów wojennych Polski i Związku Sowieckiego w r. 1939 wynosił np. 1:10, to obecnie stosunek ten, na skutek posiadania przez Moskwę bomby wodorowej, musiałby się wyrazić cyfrą 1:N, przy czym symbol N mógłby oznaczać zarówno tysiąc jak milion. Jest to słuszne, ale stosunek 1:10 też już uniemożliwiał jakąkolwiek rozsądną obronę przeciwko agresji.

Co więc jest miarą suwerenności państwowej w praktycznym ujęciu? Trzeba przyjąć, że państwo jest suwerenne, gdy naród ma możność urządzania go zgodnie ze swą wolą oraz obrony swych istotnych interesów na zewnątrz. Trudno zaprzeczyć, że suwerenność tego rodzaju posiadają państwa obozu zachodniego, począwszy od 4-milionowej Szwajcarii i 7milionowej Szwecji; żadne fakty dotychczasowe nie uprawniają do przewidywania, że ją utracą. Nie mają jej państwa bloku sowieckiego, choć można im przypisać, w terminologii autora, „suwerenność konwencjonalną". Ich ustrój wewnętrzny został im narzucony, na terenie zaś zagranicznym służą wyłącznie interesom sowieckim.

Im większa jest potęga państwa, tym szerszy zakres jego interesów, a co za tym idzie, zasięg jego suwerenności. Interesy Stanów Zjednoczonych obejmują niemal cały świat, interesy małego Luksemburga nie sięgają poza Wspólnotę Węgla i Stali. Luksemburg jest jednak, jak się zdaje, zupełnie zadowolony z tej szczupłej dozy suwerenności, jaką posiada. Cechą epoki współczesnej jest zróżnicowanie suwerenności uznawanej niegdyś za niepodzielną. Państwo przestaje być suwerenne, gdy się swej suwerenności zrzeka, lub gdy traci możność przeciwstawiania się polityce obcej, godzącej w jego interesy. W pierwszym wypadku staje się prowincją, stanem lub kantonem, w drugim — satelitą. Nie przestaje być suwerenne, gdy się godzi na ograniczenie swej suwerenności we własnym interesie. Francja, pomimo ogromnego nacisku Ameryki, potrafiła się przeciwstawić koncepcji Europejskiej Wspólnoty Obronnej, ponieważ uważała, że nie leży ona w jej interesie. Wojska brytyjskie i francuskie na kontynencie pozostają pod dowództwem amerykańskiego generała, gdyż oba państwa uznają to za korzystne dla swych interesów narodowych. „Jeżeli odzyskamy wolność i Rosja wycofa się z Polski — pisze p. Mieroszewski — nasza armia wejdzie w skład armii europejskiej i podlegać będzie takiemu czy innemu, atlantyckiemu czy europejskiemu dowództwu". Nie będzie w tym dramatu, jeżeli zostanie utworzona wspólna armia europejska w interesie ogólnego bezpieczeństwa. Każda umowa międzynarodowa ogranicza w mniejszym lub większym stopniu suwerenność państwową.

Prez. Eisenhower w swej niedawnej mowie do kadetów akademii wojskowej w West Point oświadczył, że ludność krajów, które będą reprezentowane na konferencji 4-ch, stanowi tylko ułamek ludzkości i że wolne narody nie roszczą sobie prawa do przemawiania w imieniu innych. Nie jest to tylko frazes, poglądy tego rodzaju są częste w publicystyce amerykańskiej. Jest w tym przeświadczenie, że epoka podbojów i imperializmu minęła i nawet bomba wodorowa nie odgrzebie jej z popiołów przeszłości. Słowo appeasement — kompromis kosztem słabszego — zostało niemal wykreślone ze słownika dyplomatycznego. Jałta, wbrew twierdzeniu p. Mieroszewskiego, nie była otwarciem, lecz zamknięciem pewnej ery.

Czy stan wytworzony istnieniem mocarstw „wodorowych" wyłącza możliwość wojen lokalnych, „stwarzania terytorialnych faktów dokonanych, przesuwania granic i zajmowania miast"? — jak pisze p. Mieroszewski. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że nie. Ho-Czi-min stworzył wszak w Indochinach pewne „terytorialne fakty dokonane". Bomby wodorowe przez samą swą potęgę niszczenia okazują się czasem bezsilne.

Można jednak postawić pytanie, czy p. Mieroszewski nie przewiduje słusznie rozwoju wydarzeń w przyszłości. Może proces opanowywania świata przez mocarstwa „wodorowe" nie przybrał jeszcze widocznych rozmiarów dlatego, że „system wodorowy nie został jeszcze ustabilizowany", a zwłaszcza, że procesowi temu przeszkadza istnienie dwóch konkurencyjnych „bloków wodorowych". Wydaje się, że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki mają już obecnie zapas bomb wystarczający do gruntownego spustoszenia kuli ziemskiej. Jeżeli jednak chodzi o rywalizację dwóch bloków, to jej wpływ paraliżujący obie strony jest niezaprzeczalny. Czy w hipotetycznej sytuacji, którą szkicuje autor w swym artykule, byłoby inaczej? Pisze on mianowicie: „Załóżmy, że komunizm sowiecki skapitulował, że nastąpiła szczęsna era opamiętania i rozsądku. Energię atomową umiędzynarodowiono, powołano do życia nową ONZ, w której zasiadają przedstawiciele uwolnionej Polski... Nawet gdyby ową przyszłą ONZ zorganizowano na najdemokratyczniej pojętych zasadach — to nie ulega wątpiwości, że o wszystkim będą decydować Anglosasi, jako ugrupowanie najliczniejsze i najpotężniejsze... Małe narody... będą posiadać znikome wpływy i będą miały znikomo mało do powiedzenia..."

Trzeba zwrócić uwagę, że Anglosasi nie mogliby być w demokratycznej ONZ ugrupowaniem najliczniejszym; Indie, Chiny, Rosja przytłaczają liczbą ludności kontynent amerykański i wyspy brytyjskie łącznie z anglosaskimi krajami Commonwealthu. Proces uprzemysławiania krajów zacofanych gospodarczo postępuje i Anglosasi nie mogą na długą metę liczyć na utrzymanie decydującej przewagi w tej dziedzinie. Broń masowego niszczenia w ręku organizacji międzynarodowej straciłaby wiele na znaczeniu jako środek przymusu i zastraszenia przez sam fakt poddania jej międzynarodowej kontroli. Problemy humanitarne i moralne, jakie nasuwa decyzja użycia tej broni, musiałyby w warunkach organizacji światowej doprowadzić do zakazu jej używania.

Ratunek przeciw zejściu małych narodów do rzędu satelitów potęg wodorowych widzi p Mieroszewski w federacji. Można być zwolennikiem lub przeciwnikiem idei federacyjnej, lecz podjęta przez autora jej obrona przeczy jego własnym założeniom. Jeżeli bowiem wykładnikiem samodzielności państwowej ma być wyłącznie siła materialna, stosunek zaś sił Polski do sił mocarstwa wodorowego wyraża się symbolem 1:N, to federacja regionalna, w której skład mogłaby wejść Polska, zmieniłaby ten stosunek na 3, 4 lub 5 do N, co przy założeniu, że N oznacza tysiąc albo milion nie ma praktycznego znaczenia, trudno zaś przyjąć, aby federacja wschodnio-europejska mogła kiedykolwiek dorównać Ameryce w produkcji bomb wodorowych. Bomba wodorowa osłabiła wartość związków federacyjnych z punktu widzenia bezpieczeństwa. Za federacją przemawiają silniej waga liczby ludności i względy gospodarcze, lecz przeciw niej — różnice historyczne, które zahamowały postępy tej idei w Europie.

L. K

KATOLICKI MISJONARZ I SOWIECCY ŁAGIERNICY

Przed kilku tygodniami powrócił do ojczyzny, po wielu latach pobytu w sowieckim obozie pracy na Workucie, włoski jezuita, o. Pietro Leoni. Drobny i wychudły, z przedwcześnie posiwiałą brodą i czupryną, patrzy o. Leoni pogodnie spoza okularów, gdy wobec przedstawicieli prasy i radia, telewizji i filmu kreśli niezwykłe dzieje swoich ostatnich 14 lat spędzonych w Rosji Sowieckiej. Został też przyjęty osobno przez Papieża Piusa XII, któremu złożył obszerne sprawozdanie ze swej pracy misyjnej, która przybrała tak nieoczekiwane formy.

46-letni dziś o. Leoni pochodzi z prowincji włoskiej, zwanej ze względu na silne tam wpływy komunistyczne „czerwoną Emilią". Tam się urodził i wychował w małej górskiej wiosce. Ukończywszy Collegium Russicum i otrzymawszy święcenia kapłańskie w Rzymie, wykorzystał młody misjonarz nadarzającą się okazję i w roku 1941 ruszył jako kapelan z włoskimi oddziałami, które poszły pomagać hitlerowskim sprzymierzeńcom w wojnie z Sowietami. Otrzymane przygotowanie do pracy misyjnej w Rosji oraz znajomość języka rosyjskiego ułatwiły mu orientację na terenach sowieckich zajętych przez Niemców i ich aliantów. Toteż, gdy w r. 1943 wskutek zmiany polityki włoskiej wobec Niemców, oddział jego właściwie został rozwiązany, o. Leoni postanawia zostać w Odessie, gdzie kościoły zostały na nowo otwarte i gdzie wierni garnęli się do kapłanów i Sakramentów, a gdy z początkiem 1944 r. bolszewicy stanęli pod miastem, zarówno on jak i drugi jezuita, Francuz, o. Jean Nicolas, nie opuszczają miasta i swych wiernych i pozostają z nimi również po wejściu wojsk czerwonych.

Jak się ono odbyło, kreśli włoski misjonarz bardzo wymownie: „Byłem wtedy w moim kościele i klęczałem modląc się. Nagle jakiś krasnoarmiejec w brudnym i porwanym mundurze wszedł do kościoła. Szedł powoli, widocznie zdziwiony i przestraszony, w kierunku ołtarza, przed którym upadł na kolana. Gdy podszedłem do niego i usłyszał me kroki, poderwał się gotów do strzału, ale gdy go uspokoiłem, uśmiechnął się do mnie, a opuszczając świątynię wrzucił jakieś grosze do puszki. Wyszedł z kościoła rozglądając się trwożliwie, jakby popełnił zbrodnię."

Przez cały rok władze sowieckie pozwoliły obu księżom pracować w Odessie i nieść pomoc duszpasterską katolikom tam mieszkającym. Duchowni prawosławni jednak śledzili każdy ich krok, w ogóle o. Leoni stwierdza z goryczą, że służyli oni nie Bogu, ale czerwonemu reżymowi. Pewnego dnia znikł bez śladu o. Nicolas, a tego samego popołudnia wezwano i o. Leoni do władz celem — jak mówili — załatwienia małej formalności. Zapewniali go przy tym, że to nie potrwa więcej jak 10 minut. Trwało zaś równo... 10 lat.

Śledztwo prowadzono przez 7 miesięcy, a w tym czasie więźnia przewożono z jednego więzienia do drugiego. Tak poznał sławne Butyrki w Moskwie, Łubiankę i więzienie przy Lefortowskiej. W końcu, pewnego dnia stanął przed obliczem urzędnika, który obwieścił więźniowi, iż został zaocznie osądzony i skazany na 10 lat pracy przymusowej za „szpiegostwo na rzecz Watykanu i propagandę antykomunistyczną". Po tym „wyroku" zesłano więźnia do obozu w Mordowii, leżącej pod Uralem.

W obozie panował stale głód, gdyż więźniowie zmuszeni do ciężkiej pracy przy wyrębie okolicznych lasów otrzymywali dziennie zaledwie 550 gramów chleba żytniego, dwa kubki herbaty oraz dwie miski zupy, zwanej przez nich „wołgą", gdyż składała się głównie z wody.

Pomimo warunków obozowych o. Leoni mógł w tajemnicy prowadzić swą pracę misyjną i nawet odprawiać Mszę św. Jeden z więźniów, katolików, Węgier z pochodzenia, wytoczył mu z kawałka aluminium malutki kielich, który można było ukryć w dłoni. Z kawałków płótna zrobił sobie o. Leoni puryfikaterz oraz inne w malutkich rozmiarach przybory do Mszy św.

Podczas głuchej nocy — opowiada o. Leoni — gdy wszyscy spali, wstawałem z mej pryczy, na skrzynce urządzałem sobie ołtarzyk i na nim odprawiałem Najświętszą Ofiarę. Do konsekracji Eucharystii używałem kilku okruchów chleba i pięciu lub sześciu kropel wina. Z winem był największy kłopot, ale widocznie sam Bóg starał się, aby mi go nigdy nie brakło. Niekiedy robiłem je sam z suszonych winogron, które dostawałem od współwięźniów w zamian za liczne miski „wołgi". Przechowywałem to bezcenne wino w buteleczce od perfum wielkości pudełka zapałek."

Pewnego razu przyszedł do o. Leoni jeden ze współwięźniów, pochodzący z Mongolii, i oświadczył mu, iż pragnie zostać katolikiem. Gdy jednak później kapłan ochrzcił go, okazało się, iż był to prowokator. Włoskiego jezuitę postawiono na nowo przed sądem i za uprawianie religijnej propagandy oraz za inne nieustalone przewinienia skazano go na lat 25 pracy przymusowej na Workucie, w sławnych obozach leżących za północnym kołem podbiegunowym, gdzie zima trwa przez 12 miesięcy na rok.

Że mógł tam spędzić całych siedem lat i że nie umarł ani nie zwariował w tych warunkach, przypisuje o. Leoni tylko temu, że — jak sam mówi — „Bóg nie pozwolił, by mi zabrakło tych okruchów chleba i tych niewielu kropel wina, abym mógł zawsze odprawiać Mszę św. Zarówno dla mnie jak i dla niewielu współwiernych, mych towarzyszy niedoli, było to jedynym źródłem siły i ciepła podczas strasznych nocy polarnych".

Kaźń katolickiego kapłana-misjonarza skończyła się całkiem niespodziewanie, w wyniku jednego z tych kapryśnych pociągnięć, którymi Moskwa jednych posyła na śmierć a innych od niej ułaskawia. W kwietniu tego roku bolszewicy zaczynający swą „ofensywę pokojową", postanowili więźnia-jezuitę zwolnić i odesłać do kraju.

Tu zastał o. Leoni jeszcze przy życiu swą 84-letnią matkę i został powitany przez czworo rodzeństwa. Misjonarz czuje się szczęśliwy w rodzinnym kraju i wśród swoich, ale, jak oświadczył to komuś, nie żałuje okropnych lat spędzonych w Rosji, bo podczas nich był narzędziem Boga, niosącym pociechę religijną tylu nieszczęśliwym ludziom. „Gdyby mi było danym wrócić się w czasie i swobodnie wybierać, to pragnąłbym jeszcze raz przeżyć te lata, jak je przeżyłem" — stwierdził z przekonaniem.

Duch tego, naprawdę powołanego misjonarza pozostał nieugięty.

J. Cz.

FILOZOFIA PRZYJEMNOŚCI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

której zmierzają, za którą tęsknią. Dla reszty z nas nazywa się ona — Bogiem.

W tym świetle pościg za przyjemnością jest wykładnikiem wyższej natury człowieka, jest przejawem jego osamotnienia na tym świecie. W rozdarciu pomiędzy przesytem rzeczy posiadanych a kuszącą dalekością Transcendentalnego — każdy z nas, ludzi tego świata, stoi w obliczu poważnego niebezpieczeństwa, że znienawidzi samego siebie i popadnie w rozpacz, jeśli swojej prawdziwej Nieskończoności nie znajdzie w Bogu. Pascal określił ów stan następująco: „Znajomość Boga bez poznania człowieczej mizerii rodzi dumę, a znajomość człowieczej mizerii bez poznania Boga rodzi rozpacz. Znajomość Jezusa Chrystusa stanowi pośrednią postawę — w Nim bowiem znajdujemy i Boga, i naszą własną mizerię".

Dopóki człowiek nie odkryje prawdziwej Nieskończoności, zmierza on nieuchronnie od subiektywizmu, gdzie „ego" usadowiło się jako absolut, — do hedonizmu, to jest do filozofii życia, głoszącej całkowite oddanie się zmysłowym przyjemnościom. Kiedy człowiek wychodzi z założenia, że pierwszeństwo należy oddawać samolubnym zachciankom, że jedyną wartość posiada „ego" — wtedy wynikiem takiej postawy będzie pogląd, że miarą wyznaczania wartości doznań stanie się ich przyjemność oraz siła natężenia. Im głębsze są te uczucia, tym bardziej prawdziwe i większego podziwu godne. Poza punktem wyjścia hedonisty, który utrzymuje, że motywem każdego działania jest przyjemność — czyha jednakowoż błąd. Gdyby tak było w istocie, żaden hedonista nie chodziłby dzisiaj po świecie: do dziś dnia leżałby na ziemi i nie chciałby się ruszyć z miejsca, gdzie po raz pierwszy — jako dziecko — upadł i skaleczył się. Dziecko z poobijanymi kolanami nie podnosi się z ziemi i nie próbuje chodzić na nowo w poszukiwaniu przyjemności, ale po prostu dlatego, że popęd do rozwijania sprawności ciała jest silniejszy w nim od przyjemności leżenia na wznak na podłodze. W istocie rzeczy przyjemność jest ubocznym produktem obowiązku i wymyka się spod bezpośredniego badania. Jest ona — jak to powiedział Arystoteles — tym, czym rumieniec na policzku. A ludzie przecież nie próbują hodować rumieńca. Jest to tylko wtórny przejaw zdrowego organizmu.

Właściwa postawa w stosunku do życia nie polega na szukaniu przyjemności, ale na pielęgnowaniu w sobie — w miarę ludzkich możliwości — Boskiego poczucia humoru. A cóż to jest humor? Mówi się, że ktoś posiada humor, jeżeli „widzi pointę", a nie posiada humoru, jeżeli „nie potrafi dostrzec pointy". Bóg stworzył jednak świat w ten sposób, że On sam jest pointą wszystkiego, co widzimy. Czynnik materialny ma być rewelacją czynnika duchowego, — czynnik ludzki rewelacją czynnika Boskiego, a przemijające doznania codziennego życia — rewelacją Wieczności. Zgodnie z pierwotnym zamierzeniem Boga, wszechświat stworzony został jako przezrocze, jako szyba okienna. Góra nie miała być jedynie górą, ale symbolem mocy Bożej. Płatek śniegu nie tylko płatkiem śniegu, ale kluczem do zrozumienia czystości Bożej. Wszystko, co zostało stworzone, miało coś mówić o Bogu, jako że „przez widzialne rzeczy świata objawia się Niewidzialny Bóg". Stosownie do tego planu — każdy człowiek miał być poetą, humorystą, istotą obdarzoną wyczuciem niewidzialnych i nieskończonych wartości we wszystkim.

Taki był dramat Boga, w którym człowiek miał grać lekkoduszną rolę Pana Stworzenia. Kiedy jednak pierwszem człowiekowi dano wskazówki do przemówienia, on je... spartaczył. Owym pośliźnięciem się, co zepsuło rolę człowieka w dziele Stworzenia, był grzech. Grzech był aktem, za pomocą którego człowiek nie zgodził się, żeby istoty stworzone uważać za to, czym one były w rzeczywistości — za schody prowadzące do Boga, za środki do celu. Miasto tego zaczął on lgnąć do nich jako do celów samych w sobie. I tym właśnie był grzech. I tym jest nadal. Człowiek traci poczucie humoru, jeśli nie widzi pointy w grze słów. Traci je również — w całej rozciągłości — jeżeli nie dostrzega pointy wszechświata, jeżeli nie widzi iż wszystkie rzeczy są rewelacjami, symbolami, przypomnieniami o Bogu, który je stworzył. Brać rzeczy poważnie, jako cele same w sobie — to znaczy przeceniać je, to znaczy traktować je z nieuzasadnioną dostojnością.

Straszliwa powaga pogańskich studiów ci rozpostarła się nad ludzkością jak całun: cały geniusz greckich dramatopisarzy nie potrafił ukryć głębokiej rozpaczy, jaka wypienia pokurczone serca ludzi, którzy w świecie nie odkryli głębszego znaczenia poza jego kruchliwym pięknem koloru, linii oraz rytmicznej harmonii. Prawda była najszlachetniejszym mistrzem, jakiemu wysługiwał się każdy poeta i filozof pogański, prawda jednak, kiedy się na nią spojrzało, jawiła się wyprana z miłości i bez litości.

W ciszy zimowego wiatru, poprzez smętną pogańską rozpacz, przebił się płacz Dziecięcy. Wielcy świata nie usłyszeli tego płaczu, jako że zajęci byli własnymi sprawami. Jeno dwie klasy ludzi usłyszały ów krzyk: pasterze oraz mędrcy. Pasterze reprezentowali ludzi, którzy wiedzą, że nic nie wiedzą. A mędrcy oznaczali ludzi, którzy wiedzą, jak niewiele uczy nas uczoność. Te dwa rodzaje prostodusznych pielgrzymów ujrzały Dziecinę, a ujrzały Ją w Boskim poczuciu humoru. Poprzez człowieka ujrzały Boga. Było to Słowo, które stało się Emanuelem, Bogiem z nami.

A kiedy Dziecię urosło w wiek, i łaskę, i mądrość — wyszło na publiczne drogi, i targowiska, i zaczęło nauczać ludzi nowej doktryny, doktryny Boskiego poczucia humoru. Nauki te można by zebrać w tych kilku zdaniach: „Niczego na tym świecie nie powinniście brać na serio — z wyjątkiem zbawienia duszy. Świat, i wszystkie rzeczy tego świata, zostaną pewnego dnia zwinięte jak namiot koczującego Araba. Nie powinniście żyć wyłącznie dla doczesnego życia". — Ludzie, co brali świat na serio, doznali wstrząsu, kiedy usłyszeli jak On, Bóg-Człowiek, grzmiał: „Bo cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a na duszy swej szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za duszę swoją? Albowiem przyjdzie Syn człowieczy w chwale Ojca swego z aniołami swoimi, a wtedy odda każdemu według uczynków Jego" (Mat. 16, 26.27). Nie chciał On brać rybaków poważnie, to znaczy za rybaków. Dla Niego byli oni „łowcami ludzi". Strój weselny nie był dla Niego ważny sam w sobie, ale jako symbol miłosierdzia. Nasienie gorczycy wskazywało na rozwój Kościoła w dziejach. Trawa oraz liście były znakami Opatrzności Bożej. Owce i kozy — sprawiedliwymi i złymi ludźmi. A ludzie biedni — biedni, to On sam.

Chrześcijanie mieli patrzeć na rzeczy lekko, jako że prawdziwych wartości nie znajdzie nikt, kto się w rzeczy nie zagłębi, lub kto zrozumie ich powierzchowne znaczenie poważnie. A przecież i dzisiaj możliwe są dwa poglądy na świat: albo pogląd hedonisty, który patrzy na świat z namaszczeniem, uważając, że jest to jedyny ze światów, jaki człowiek może kiedykolwiek posiadać, — albo pogląd zbudowany na Boskim poczuciu humoru i pozwalający człowiekowi „poprzez" ten świat „widzieć" drugi świat, świat, który będzie jego światem w przyszłym życiu. Chrześcijanin może beztrosko patrzeć na życie i dobra doczesne. Jeżeli dziecko posiada tylko jedną jedyną piłkę — i wie, że innej już nie dostanie — będzie bardzo oszczędne w jej użyciu, a piłkę charakteryzować będzie pewnego rodzaju powaga. Jeżeli mu jednak powiedzą, że pewnego pięknego poranka otrzyma drugą piłkę, taką, co nie popsuje się nigdy — wtedy dziecko może traktować swoją pierwszą piłkę bardziej beztrosko, może się nią bawić bez myśli o oszczędzaniu.

Tylko ci ludzie, co wierzą, że realność przemija — mogą przejść poprzez doczesne życie z niezachwianym poczuciem humoru. Ateista, agnostyk, sceptyk, materialista — wszyscy ci ludzie muszą na siebie patrzyć poważnie. Nie posiadają oni bowiem żadnej duchowej postawy, na której mogliby stanąć i z której mogliby spojrzeć w dół na siebie i własną śmieszność zobaczyć. Nie ma nic śmieszniejszego, aniżeli pretensjonalność. Absurdalność sytuacji będzie się potęgować, chyba, że ten rozdęty balon przebije samokrytycyzm. Jeżeli samozachwycenie opadnie bez poddania się miłosierdziu Bożemu, które może podnieść grzesznika z upadku — wtedy może zrodzić się tylko rozpacz. Do radości życia potrzebny jest Bóg.

W Piśmie Świętym jest tylko jedno miejsce, w którym mowa o tym, że Bóg się śmieje „Który mieszka w niebiosach, wyśmieje się z nich, a Pan szydzić z nich będzie" (Ps. 2, 4). Nasze sprzeczności oraz afektacje sprawiają, że stajemy się śmieszni: dwunastoletni chłopiec, który się goli, i dziewięcioletnia dziewczynka, co stroi się jak mamusia — budzą śmiech, ponieważ udają dorosłych a są dziećmi. Jeżeli materialista (lub ateista) postawi się w roli Boga, jeżeli zaprzeczy jakiejkolwiek zależności od Stwórcy, jeżeli nie uzna potrzeby, żeby Zbawca wybaczał jego grzechy i przewinienia — wtedy staje się tak zabawny, że pobudza do śmiechu samego Boga. Dumna postawa szydercy podwaja jego śmieszność: z dwóch ludzi, którzy upadli na lodzie — pan w cylindrze będzie wyglądał zabawniej od człowieka skromnie ubranego. Bawi nas upokorzona duma i przekłuta wyniosłość. Mogą one nawet bawić — Boga.

Podczas kiedy Bóg śmieje się z ateistów, święci oraz ludzie, co posiedli Boskie poczucie humoru — śmieją się z samych siebie. Wiara nauczyła ich, że doczesne życie jest jedynie przedsionkiem do następnego żywota, że wszystko w tym życiu posiada charakter sakramentalny, że wszystko prowadzi do Boga. Świat widzą oni jako rusztowanie, po którym dusze wspinają się do Królestwa Bożego. A kiedy już ostatnia dusza wejdzie na szczyt, rusztowane zwalone zostanie w dół i spalone w gorącym ogniu — nie dlatego, że rusztowanie jest rzeczą podłą, ale dlatego, że spełniło swe zadanie doprowadzenia nas z powrotem do Boga. Jeśli Bóg posiada dla nas należyte znaczenie, to odciski Jego palców powinny sprawić, że widzialny świat stanie się dla nas drogocenny. Jeżeli Jemu spodoba się, żeby z tego świata usunąć któryś z tworów, to przecież fakt ten nie może mieć bardzo wielkiego znaczenia, gdyż On sam pozostaje. Kiedy cierpliwy Job utracił wszystko, co posiadł, zachował przecież poczucie Boskiego humoru, mówiąc: „Pan dał, Pan wziął, Pan niechaj będzie pochwalon". Z taką samą radosną mądrością patrzył na świat św. Franciszek, kiedy księżyc mienił siostrą, a słońce bratem, kiedy odczuwał powinowactwo stworzenia z ogniem, wiatrem oraz wodą, i kiedy — umierając — powitał śmierć jako serdecznego brata. Święta Róża z Limy obrała sobie za ulubione pieszczotki dokuczliwe moskity. Nie raniły jej nigdy. A ona zwykła je prosić, żeby swym brzękiem śpiewały, kiedy się modliła.

I stanie się, być może, w dzień Sądu Ostatecznego, kiedy Dobry Bóg przyjdzie sądzić żywych i umarłych — że bardzo wyszukanym darem obdarzy On tych, co tego świata nie brali zbyt serio, ale z każdej materialnej rzeczy budowali schody prowadzące do Niebios.

Tych, co ani siebie, ani świata nie traktowali zbyt poważnie, tych, co posiedli Boskie poczucie humoru — Bóg swoim uśmiechem obdarzy.

Przełożył **Wiesław Pisarczyk**

ZGON ARCYBISKUPA R. JAŁBRZYKOWSKIEGO

Dnia 19 czerwca zmarł w Białymstoku ksiądz arcybiskup metropolita wileński Romuald Jałbrzykowski. Pogrzeb odbył się 22 czerwca w Białymstoku. Ks. arcybiskup Romuald Jałbrzykowski urodził się 7 lutego 1876 roku w Łętowie na Suwalszczyźnie. Święcenia kapłańskie otrzymał 9 marca 1901 roku. W dniu 30 listopada 1918 roku konsekrowany został jako biskup tytularny Cuse. W 1925 roku został biskupem łomżyńskim, a od 24 czerwca 1926 roku, czyli przez równo 29 lat, był arcybiskupem metropolitą wileńskim. Wysiedlony przez bolszewików ze swej metropolii ks. arcybiskup Jałbrzykowski przebywał na skrawku swej archidiecezji w Białymstoku. Zmarły Książę Kościoła znany był z pobożnego życia, wielkiej gorliwości kapłańskiej i gorącego patriotyzmu.

OD KOMITETU „SACRUM POLONIAE MILLENNIUM"

DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW SACRUM POLONIAE MILLENNIUM

Komitet Sacrum Poloniae Millennium poczuwa się do miłego obowiązku złożenia jeszcze raz najserdeczniejszego podziękowania wszystkim Prenumeratorom I tomu, a zwłaszcza tym, którzy większym datkiem umożliwili szybkie jego wydanie ku chwale katolickiej Polski, i dla jej duchowego dobra.

Dzieło to spotkało się z pełnym uznaniem zarówno swoich, jak i obcych; wobec potomnych będzie ono chlubnym świadectwem ofiarnego ducha przebywających poza Krajem katolików Polaków lub polskiego pochodzenia.

W najbliższych tygodniach przystępujemy do druku tomu II, który obok prac innych o aktualnej wartości będzie zawierał w związku z wielką rocznicą Mickiewiczowską (sto lat od śmierci naszego Wieszcza) rozprawy naświetlające jego stosunek do religii i Kościoła.

Ponieważ już nie możemy liczyć na nowe większe pieniężne zasiłki, zmuszeni jesteśmy podnieść cenę poszczególnych tomów o 2 dolary, co zresztą nie przewyższa ceny podobnych wydawnictw we wszystkich krajach Starego i Nowego Świata.

Prosimy zatem o łaskawe i rychłe nadesłanie przedpłaty na tom II w wysokości 8 dolarów za tom broszurowany, lub 10 dolarów za tom oprawny w płótno lub imitację skóry. Pieniądze najlepiej przesyłać czekiem bankowym (nie zaś przekazem pocztowym) w liście poleconym pod adresem: J. E. Ks. Arcybiskup Józef Gawlina, Botteghe Oscure 15, Roma, Italia z dopiskiem: „na Millennium".

† Józef Gawlina
Przewodniczący Komitetu Rzymskiego Sacrum Poloniae Millennium

Rzym, 18 maja 1955.

CZY KONIEC TOTALITARYZMU W ARGENTYNIE?

W Argentynie, jak wiadomo, i jak o tym pisaliśmy w numerze ŻYCIA 11 (403) z 13 marca 1955 r., wprowadzono rozwody, zabroniono manifestacyj religijnych pod gołym niebem, zniesiono w szkołach nauczanie religii katolickiej, w oficjalnym kalendarzu skasowano niektóre święta religijne, zagrożony został byt szkół katolickich. Od szeregu miesięcy peroniści głosili, że Kościół powinien ograniczyć się do modlitw i udzielania Sakramentów w kościołach, a działalność Akcji Katolickiej uważali za mieszanie się w dziedziny, które powinny być zastrzeżone dla państwa. 7 maja aresztowano w stolicy wszystkich członków centralnego komitetu Akcji Katolickiej i archidiecezjalnej rady Akcji Katolickiej archidiecezji Buenos Aires i nie dopuszczono do nich kardynała Santiago Luis Copello, arcybiskupa Buenos Aires. Senat zaaprobował projekt prawa zmierzający do zniesienia przepisów, które przyznawały instytucjom religijnym zwolnienia od podatków. W parlamencie wszystkie te sprawy przechodziły gładko, bo w izbie niższej peroniści rozporządzali wszystkimi głosami z wyjątkiem ośmiu, a w izbie wyższej zasiadali sami peroniści. W końcu przystąpiono do przygotowania rozdziału Kościoła od państwa. Peron tak był pewny, że przeprowadzi to na drodze parlamentarnej, że w dzień poświęcony obchodzeniu rocznicy niepodległości nie wziął po raz pierwszy udziału w okolicznościowym nabożeństwie. Wreszcie dwóch prałatów, w tym jeden jest biskupem pomocniczym kardynała Copello, arcybiskupa Buenos Aires, wywieziono samolotem z Argentyny.

INTERPRETACJA FAKTÓW

W przemówieniu w Luna Parku w Buenos Aires w dniu 25 listopada 1954 Peron stwierdził, że jak zawsze to czynił, tak i teraz, gdy ma do wyboru z jednej strony siłę, która walczy przeciw narodowi, a z drugiej sam naród — wybiera naród. Nad sobą nie uznaje żadnego suwerena poza narodem, a jeżeli kiedyś naród się pomyli, to i on pomyli się wraz z narodem. W przemówieniu zaś na Plaza de Mayo w dniu 1 maja 1955 stwierdził, że uważa za swój obowiązek obronić naród przed jakimkolwiek mieszaniem się zewnętrznym, i zaręczył, że wypełni swe zadanie całkowicie i z całą energią.

W wywiadzie udzielonym korespondentowi „Gazette de Lauzanne" Peron stwierdza, że idzie za głosem narodu. Stosunek Kościoła do państwa powinien, zdaniem Perona, układać się na wzór stosunku dzieci do ojca: po dojściu do pełnoletności następuje separacja. Nie żąda Peron od narodu zaparcia się wiary, ale chce nowego ułożenia stosunków między Kościołem katolickim a państwem argentyńskim, ażeby, jak powiada, uniknąć na przyszłość konfliktów między Episkopatem a rządem. A w wywiadzie udzielonym korespondentowi pisma włoskiego „Il Tempo" zbagatelizował konflikt w Argentynie, jakoby chodziło tylko o zatarg między mniejszością duchowieństwa i organizacjami narodu argentyńskiego. Duchowni ci uczynili jakoby z kościołów komitety polityczne, usiłując w ten sposób infiltrować w organizacje, wobec czego organizacje protestowały i broniły się przed tą infiltracją, a teraz starają się na drodze ustawodawczej położyć nowe bazy pod współżycie narodu i duchowieństwa. Pod koniec wywiadu Peron stwierdził swą katolickość, swą cześć dla religii i zapewnił, że w tym zatargu narodu z duchownymi, którzy stali się winni politykierstwa, naród rozstrzygnie sam przez swe przedstawicielstwo w parlamencie.

Wola „całego" narodu przejawiła się jakoby w manifestacjach z 25 listopada 1954 i 1 maja 1955. Zebranie pierwszomajowe było przez jakiś czas starannie przygotowywane przez prasę, która głosiła konieczność przeprowadzenia reformy konstytucji w kierunku rozdziału Kościoła od państwa. Na zebraniu przemawiał najpierw sekretarz konfederacji pracy, Edward Vuletich, a po nim sam Peron. Po pytaniach zadawanych z balkonu następowały chóralne odpowiedzi zebranych tłumów, rzekomo przedstawiających całość narodu argentyńskiego. „Jeżeli naród zechce, by duchowni pozostali, pozostaną" — brzmiał głos z balkonu. „Naród" oczywiście odpowiedział: „Nie". — „Jeżeli naród zechce, aby przeprowadzony był rozdział Kościoła od państwa, będzie przeprowadzony." — „Tak! Tak!" — krzyczały zegnane tłumy.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI WOBEC PRZEŚLADOWANIA

Wśród wypowiedzi Episkopatu argentyńskiego wspomnijmy o listach z 10 listopada 1954 i z 22 kwietnia 1955, jako też o oświadczeniu kardynała Copello z maja 1955. Gdy sformułowano nieokreślone bliżej oskarżenia pod adresem trzech biskupów i około dwudziestu księży, Episkopat w liście z 10 listopada zażądał sprecyzowania oskarżeń. „Odpowiedź" dał sam Peron na zebraniu w Luna Parku, stwierdzając krótko, że sami powinni to wiedzieć. Na oskarżenia, że Kościół za dużo kosztuje państwo, Episkopat stwierdził w liście z 22 kwietnia, że przez takie oskarżenia prowadzi się łatwą kampanię podstępną przeciw duchowieństwu, nie pamiętając, iż opłaty państwa na cele kościelne są częściową restytucją za dobra zabrane Kościołowi. Po aresztowaniu naczelnych władz Akcji Katolickiej kardynał Copello wydał oświadczenie, w którym poruszył sprawę niedopuszczenia go do aresztowanych i zapowiedział odmówienie Różańca w katedrze za uwięzionych i o wolność Kościoła w Argentynie.

Kraje Ameryki Południowej leżące w sąsiedztwie Argentyny, a więc lepiej poinformowane o tamtejszej sytuacji, nie pozostawiły bez odpowiedzi tego, co dzieje się pod rządami Perona. W Montevideo arcybiskup Antoni Barbieri zażądał od mieszkańców Urugwaju, aby czerwiec poświęcili modlitwom za braci Argentyńczyków, a urugwajska Akcja Katolicka ogłosiła oświadczenie protestujące przeciw atakom i groźbom rządu argentyńskiego wobec katolików tamtejszego kraju. Studenci uniwersytetu katolickiego w Limie zorganizowali manifestację przeciw stanowisku prezydenta Perona jako nie dającemu się pogodzić z jakąkolwiek zasadą demokratyczną. W Santiago Akcja Katolicka wydała oświadczenie, w którym daje wyraz bólu z powodu prześladowań religijnych w Argentynie i wzywa katolików chilijskich, by 25 maja, dzień niepodległości Argentyny, poświęcili modlitwom, ażeby Chrystus i Jego sprawiedliwość zapanowały w tym państwie. Federalna izba brazylijska uchwaliła bez dyskusji i jednogłośnie wniosek wyrażający solidarność z Kościołem i narodem argentyńskim.

„Osservatore Romano" pisało w sprawach dotyczących prześladowania Kościoła w Argentynie w numerach z dni 4, 6, 9-10, 12, 15 i 28 maja, ponadto w wielu numerach czerwca. Dziennik watykański nie pominął okazji, by wyrazić zdziwienie, że taki dziennik jak „Il Tempo" przyczynia się przez swój wywiad z Peronem do szerzenia w Italii głosu tendencyjnego, który jest zarazem zwiastunem ciężkich dni dla naszych braci w Argentynie.

Że cała sprawa argentyńska inaczej zgoła się przedstawia, niż próbują wykazać to przemówienia i wywiady Perona, a także oświadczenia partii peronowskiej i manifestacje w Luna Parku i na Plaza de Mayo — najlepiej to stwierdza zachowanie się katolików argentyńskich, którzy mimo wszystkich trudności potrafili zorganizować protestacyjne zebrania. W Buenos Aires wokoło katedry zgromadziły się rzesze wiernych na Mszę św. wieczorną. W tym czasie w parlamencie odbywały się narady nad zmianą konstytucji, która pozwoliłaby na przeprowadzenie rozdziału Kościoła od państwa. Peroniści starali się przeszkadzać nabożeństwu przez umieszczenie w sąsiedztwie głośników, przez które nadawali marsze wojskowe. Po Mszy św. 20.000 katolików defilowało po ulicach miasta śpiewając „Chrystus i tylko Chrystus" i wołając „Argentyna jest katolicka". (Peroniści wołają: „Peron i tylko Peron".)

W dniu zaś niepodległości Argentyny, 25 maja, po Te Deum odśpiewanym w katedrach, katolicy manifestowali przeciw prześladowaniom religijnym i przeciw tym, którzy są za nie odpowiedzialni. Policja interweniowała, by przeszkodzić manifestacjom i dokonała aresztowań. Przeważna część uwięzionych została zwolniona w ciągu 48 godzin.

Najwymowniejszym jednak stwierdzeniem, jaka jest wola narodu (a Peron głosił, że miarodajną jest dla niego wola narodu!), były wydarzenia w Buenos Aires w sobotę wśród oktawy Bożego Ciała. Na ten dzień były wyznaczone procesje, ponieważ na skutek zarządzenia Perona dzień Bożego Ciała nie jest dniem wolnym od pracy. Z powodu nowego zakazu procesje mogły odbyć się tylko w kościołach. W katedrze w Buenos Aires pomieści się 3.000 osób, wobec tego wierni w liczbie 200.000 zebrali się na placu przed katedrą. Wznoszono okrzyki „Niech żyje Chrystus Król! Naród żąda procesji!" Śpiewano hymn: „Najświętsze Serce Jezusa, zbaw naród argentyński". Gdy jeden z obecnych rozpostarł sztandar papieski, entuzjazm osiągnął punkt kulminacyjny: okrzyki „Niech żyje Papież!" brzmiały z większą mocą, niż na Placu św. Piotra w Rzymie. Uformował się pochód, który w milczeniu doszedł do Placu Kongresu. Tutaj ponowiła się manifestacja wśród niemilknących okrzyków: „Jesteśmy narodem! Chrystusa zwrócić szkołom! Naród z Kościołem! Chrystus i nikt inny! Christus vincit! Christus regnat! Christus imperat!"

W. F.

TEATR AMATORSKI

„OŁTARZ MARIACKI WITA STWOSZA”

Teatry amatorskie, coraz bujniej krzewiące się na emigracji, wkładają sporo starań w grę aktorów, w reżyserię a zwłaszcza w dekoracje. Zaniedbują prawie z reguły rzecz niezmiernie ważną, bo kierownictwo literackie. A przecież wybór sztuki to pierwszy warunek dobrego przedstawienia.

Piękny pod każdym względem wysiłek Zespołu Dramatycznego „Devonia” można śmiało nazwać sukcesem sceny amatorskiej, ale nie sukcesem artystycznym. Sztuka A. Warta „Ołtarz Mariacki Wita Stwosza” jest sztuką bardzo słabą i konwencjonalną.

Nadprzyrodzoność pomieszana jest w niej z rzeczywistością jak groch z kapustą. Zmarła żona Wita Stwosza daje różne praktyczne rady zgnębionemu małżonkowi przez dobre pół godziny, po czym znika. Aż żal, że na tak krótko otrzymała przepustkę z nieba na ziemię, taki to duch miły, ładniutki, i w tak przyjemnej sukni. Nadprzyrodzoność albo tzw. fantastyczność należy do tradycji polskiego dramatu. Ale ostatecznie musi być jakaś różnica między zjawą a jawą, między duchem a ciałem. Najlepsze role duchów w dramacie są nieme, kiedy duchy się po prostu zjawiają i milczą, co najwyżej łzy roniąc, krwią brocząc, ręką wskazując na serce itd. Te zjawy zresztą zwykle ukazują się za oknem, w lustrze, w cieniu, we mgle, albo jak w „Dziadach”, w powietrzu. Najczęściej postacie fantastyczne w dramatach są projekcją wyobraźni poszczególnych osób, jak np. u Wyspiańskiego. Ale duch, jak u Warta, sfruwający z zaświatów prosto na deski sceny i bez ogródek i żadnej różnicy z żywymi mieszający się w ich sprawy, to nie dramat, lecz baśń dramatyczna.

Ale baśń musi być konsekwentna. Tymczasem „Ołtarz Mariacki”, to zarazem baśń i projekt na dramat historyczny. Pierwszy akt jest nawet poprawnym i zgrabnym obrazem historycznym i dlatego też najlepiej był przez zespół „Devonia” zagrany.

Przedstawienie odbyło się w ratuszowej sali St. Pancras, a było dziełem Polskiego Stowarzyszenia Katolickiego i Koła Młodzieży „Devonia” pod opieką i kierunkiem ks. kanonika N. Turulskiego, złotymi zgłoskami zapisanego w kronice młodzieży polskiej w Londynie.

Dekoracje E. Konkela doskonałe i nadzwyczaj sceniczne.

Młodzi odegrali swe role z godną pochwały skromnością i mimo braków w samej grze mówili teksty w starannej, choć monotonnej dykcji.

A. Iwaszkiewicz zagrał rolę księdza Hajdeka prawie jak aktor zawodowy, dobry był też mieszczanin Szwarc (R. Młoszewski), E. Gawor w roli Stwosza trochę za miękki, pięknej Barbarze (U. Szczechlówna) trudno była uratować łzawą i nienaturalną rolę.

Reżyser S. Laskowski zwrócił więcej uwagi na plastykę, a niewiele na ruch

Przedstawienie było udanym pokazem możliwości teatrów amatorskich i dowodem, jaka to trudna rzecz sztuka sceniczna.

J. B.

Z SALI KONCERTOWEJ

CHÓRY POLSKIE W ALBERT HALLU

Chór Wojska Polskiego, który przed 15 laty z takim powodzeniem wsławiał pieśń polską wśród obcych, obchodził godnie 19 czerwca swój jubileusz w Londynie — Świętem Pieśni Polskiej.

Impreza została zorganizowana staraniem połączonych chórów: im. Chopina i edynburskiego „Echa”, które to chóry wzięły początek z Chóru Wojska Polskiego. Oprócz tych dwu chórów brały w niej również udział chóry później powstałe, a więc: „Varsovia”, Chór Akademicki, Chór Szymanowskiego i inne, dając wieczór polskiego, pięknego, zjednoczenia w śpiewie.

Bardzo to ważne, że przy okazji koncertu odbył się zjazd delegatów i powstał Związek Stowarzyszeń Śpiewaczych, którego celem ma być sharmonizowanie poszczególnych chórów lokalnych, pobudzanie nowych inicjatyw i pielęgnowanie polskiej kultury śpiewaczej na uchodźstwie. Prezesem Związku został zasłużony działacz Związku przedwojennego, dr L. Surzyński. Zarówno Prezesowi jak i całemu Związkowi życzyć należy powodzenia w realizowaniu podjętych celów, by zgodnie z wytycznymi Szymanowskiego, szerzyło się piękno pieśni polskiej ciesząc przy tym i nasze serca.

Program ułożony został bardzo starannie: Chopin, Niewiadomski, Moniuszko, Nowowiejski, Różycki, Lachman (i in.), a ze współczesnych: Kołaczkowski, Gorzkowski, Hosowicz.

Imponująco wypadły pieśni chórów połączonych, pomimo że był tylko jeden, sobotni, dzień na wspólne próby. „Loch Lomond” w układzie Kołaczkowskiego (twórcy Chóru Wojska Polskiego) przyniósł z sobą wspomnienia przeżywanych w Szkocji ciężkich dni wojennych, kiedy to przez pieśń polską i szkocką zacieśniały się węzły przyjaźni między polskimi żołnierzami i Szkotami.

Prolog do opery „Straszny Dwór”, wykonany na zakończenie wieczoru, był niewątpliwe najlepszym tego wieczoru osiągnięciem (Bojakowski, Fechter i Nowakowski). Dyrygentowi, p. Gedlowi należy się uznanie.

Nowakowski — jak zwykle — ujmował nie tylko śpiewem, ale i całą postawą, godził jak zawsze artyzm z przemiłą prostotą. Huczne brawa po „Czatach” i pieśni „Znasz-li ten kraj”, przyniosły pożądane bisy.

Szkoda, że tenor Bojakowskiego nie miał dość dobrych warunków akustycznych w Albert Hallu. Fragmenty arii Stefana ze „Strasznego Dworu” gubiły się, lub wracały podwójnym echem. Pieśń Żeleńskiego o „Jaśku spod Sącza” wypadła lepiej.

Z wystąpień poszczególnych chórów — trzeba na pierwszym miejscu postawić Chór Chopina pod dyrekcją Z. Gedla. Wyrównany, o silnych basach i czystych tenorach i altach. Zwłaszcza pięknie zabrzmiała pieśń „Grób Wikinga” — Niewiadomskiego.

Połączone chóry męskie (pod dyr. E. Bębna) szczególnie dobrze odśpiewały „Sztandary polskie na Kremlu”. Chór „Echo” pod dyrekcją S. Gorzkowskiego zdobył publiczność „Hymnem wolnych Polaków”, dramatycznym „Alarmem” w układzie Kołaczkowskiego i lirycznymi, może nawet najlepiej oddanymi, pieśniami Lachmana: „Kołysanka góralska” i „Pastuszek”. Chóry: Akademicki i Szymanowskiego doskonale zaśpiewały Poloneza A-dur Chopina w układzie Nosowicza. Chór „Varsovia” wystąpił w strojach góralskich, co dało grające kolorami tło do wiązanki pieśni góralskich. Dobrze wypadły piana, interpretacja i tempo pozostawiały może nieco do życzenia.

Całość koncertu trzeba ocenić jako imprezę jak najbardziej udaną.

Organizatorom, dyrygentom, solistom, akompaniatorom i wszystkim śpiewakom należą się słowa podzięki, uznania i zachęty do dalszej pracy. Dobrą robicie na uchodźstwie robotę. Szczęść Wam Boże!

I. Wojski

MARIAN CZUCHNOWSKI

ROZWICIE

Dzień z nocą, myśl z myślą, toczą ciemne bitwy.
Cichnie szmer maszyny do pisania.
Pod oknem westchnie granatowa krtań latarni gazowej,
Po czym się znowu miękko rozżarzy od swej atłasowej
Poświaty, zwabiając podwójnie ryb twy,
Głosem i światłem, na płaskie dachy białe od świtania.

Utkany gęsto mrok domy za skwerem przesłania.
Niknąc zawzięty; srebrny. Słychać każdy krok,
Świstanie kosa, mieczarzy z wózkami w ulice terkoczących puste.
Rozjaśnia się. Dnia przybywa na zajęczy skok,
Falowaniem. Na placyku wapnem pokropionym,
Gilami, rosą, ze wszystkich stron na raz oświeconym,
Topole wyłśniewają z siebie pąki, niewinne i tłuste,
Jak rączki dziecka złożone rano do modlitwy.

ŻYCIE KULTURALNE W ST. ZJEDNOCZONYCH

PISARZE W AMERYCE

Malcolm Cowley robi od czasu do czasu — raz na dwadzieścia lat — rodzaj bilansu amerykańskiej literatury. Jego najnowsza książka nosi tytuł „Sytuacja literacka”. Poprzednia, wydana przed wojną, poświęcona była pokoleniu literackiemu, do którego należą tacy pisarze, jak Hemingway, Steinbeck i Falkner, bez których trudno sobie dziś wyobrazić amerykańską literaturę. Gdy jednak pisał o nich Cowley, mógł mieć poczucie, że ich odkrywa. Poznać się na młodych geniuszach, to rzecz niełatwa. Komu się to udało, zasługuje na zaufanie. Z tym większym zainteresowaniem bierzemy do ręki nową książkę Cowleya, poświęconą młodszemu pokoleniu pisarzy amerykańskich.

Cowley czuje się do tego stopnia solidarny z pokoleniem swoich „protegowanych” a więc rówieśników, że jest — być może — nieco niesprawiedliwy dla ich następców. Zanim przejdziemy do omówienia jego ocen i opinii o młodszych pisarzach amerykańskich, zajmiemy się na chwilę tą częścią książki, która pod wieloma względami stanowi nowość. Krytyka tradycyjna unikała tego, co możnaby nazwać socjologią literatury, tj. na ogół nie zajmowała się takimi kwestiami, jak: z czego żyją i jak urządzają się pisarze. Cowley wnika w te sprawy dość głęboko i podaje szczegóły często bardzo frapujące.

Pisarze amerykańscy młodego pokolenia pochodzą przeważnie z rodzin imigrantów. Grupy etniczne, do których należą, osiągają w ich osobach ostatni stopień asymilacji i awansu społecznego. W awansie społecznym imigrantów Cowley odkrywa pewną regularność: dostarczają oni Ameryce naprzód bokserów, potem przywódców ruchu robotniczego; z drugiego pokolenia rekrutują się już footbaliści i przedsiębiorcy, a dopiero trzecie dostarcza literatów.

Większość pisarzy amerykańskich ma wykształcenie uniwersyteckie. Na niektórych uniwersytetach istnieją nawet specjalne klasy „twórczości literackiej”, gdzie można dostać dyplom zawodowego literata. Według oficjalnej statystyki, żyje dziś w Stanach Zjednoczonych około 15 tysięcy zawodowych pisarzy, nie mówiąc o niezliczonych amatorach, którzy także znajdują wydawców. Znaczna ich część mieszka w okolicy Nowego Jorku. Południowe Stany mają ich mniej, ale za to są oni bardziej oryginalni. Z tych 15 tysięcy, zaledwie dwustu utrzymuje się z dochodów pisarskich, reszta zmuszona jest dorabiać pracą dla filmu, radia i czasopism rozrywkowych, a także tzw. lektoratem, tj. czytaniem manuskryptów, nadsyłanych do firm wydawniczych, lub akcją odczytową, która na prowincjonalnych uniwersytetach jest bardzo rozwinięta.

Najtrudniejsza jest oczywiście sytuacja poetów, z których tylko dwom wystarczają na życie dochody z publikacji ich utworów. Tomiki wierszy są obłożone takim samym podatkiem, jak romanse kryminalne, co sprawia, że nawet znaczny sukces nie zwraca poecie kosztów produkcji. Każdy więc stara się o nagrody literackie i stypendia, których zresztą udziela się w Ameryce bardzo dużo.

W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci zaszła w Stanach Zjedn. wielka zmiana w stosunku zarówno prasy jak i publiczności do literatury. Z jednej strony bowiem ogromnie wzrosło czytelnictwo, a z drugiej prasa literacka poświęca więcej miejsca krytyce niż twórczości oryginalnej. Czytelnictwo stale się rozwija i obejmuje rodzaje literackie, najmniej — zdawałoby się — przydatne dla popularyzacji. Przyczynił się do tego nowy typ taniej, kieszonkowej książki w półsztywnej, bardzo jaskrawej okładce. Każda książka, która osiąga nakład 10 lub 15 tysięcy, wydawana jest w formie książki kieszonkowej i sprzedawana za kilkadziesiąt centów. Można ją nabyć nie tylko w księgarniach i sklepach z papierem, ale także w owych — tak charakterystycznych dla Ameryki — drogeriach. Istnieją książki, które dzięki temu systemowi rozeszły się w milionie a nawet dwóch milionach egzemplarzy.

W niektórych wypadkach, sukces książki jest sukcesem czysto handlowym, a nie literackim. Tak np. zbiór poważnych szkiców filozoficznych, zaopatrzony w sensacyjną okładkę, znajduje kupców, którzy nie żałują wydatku, choć po przeczytaniu kilku stron rzucają książkę do kosza. Nie jest to wcale gorszy sposób zdobywania rynku zbytu przez wydawców, niż ten, który rozwinął się w Europie, gdzie np. wydawnictwa bibliofilskie kupowane są dla swych wartości dekoracyjnych, a nigdy nie są czytane. System ten daje korzyści nie tylko wydawcom i drukarzom, ale także pisarzom.

Gorsze są skutki nowego zwyczaju, przyjętego w wielkich czasopismach literackich, które ogłaszają więcej omówień krytycznych niż oryginalnych utworów literackich. Tym to zwyczajem Cowley tłumaczy fakt, że rozpanoszył się w młodej literaturze amerykańskiej rodzaj nowego akademizmu. Wyobraźnia poetycka zastąpiona tu jest często intelektualnymi spekulacjami, a szczerość i bezpośredniość — ćwiczeniami stylistycznymi. Sprawia to, że twórczość literacka staje się coraz mniej spontaniczna, a pisarze lękliwie stosują się do obowiązujących i uznanych przez krytykę wzorów literackich. Cowley zarzuca młodej literaturze epigonizm i brak oryginalności. Jak jednak widzimy, czyni on za to odpowiedzialnymi nie samych pisarzy, ale raczej organizatorów ruchu wydawniczego.

Przejdźmy teraz do ocen i opinii Cowleya o młodej literaturze amerykańskiej. Dzieli on najnowszą twórczość powieściopisarską na sześć typów. Pierwszy typ, to zamaskowana autobiografia, zabarwiona psychoanalizą. Jest to zwykle historia młodego, zdolnego artysty, na którym zaciążyła zbyt czuła i arbitralna miłość macierzyńska. Drugi typ, to powieść, w której opis przeciętnej rzeczywistości mieszczańskiego domu przeistacza się zwolna w opowiadanie fantastyczne. Autorzy tego rodzaju powieści pozostają pod wpływem Kafki, pisarza austriackiego, który zmarł ćwierć wieku temu, a ostatnio uzyskał światową sławę. Trzeci typ powieści amerykańskiej, to opowiadanie z życia cyganerii artystycznej. Akcja toczy się zwykle w Paryżu, Florencji albo w Greenwich Village, na tym przedmieściu Nowego Jorku, które odpowiada mniej więcej paryskiej Dzielnicy Łacińskiej.

Czwarty rodzaj, to naśladownictwa Henry James'a. Bohaterami tych powieści są synowie zamożnych rodzin amerykańskich, którzy w czasie podróży do Europy odkrywają „smak i urodę życia”. Piąty typ powieści, to historie z okresu pokwitania, pełne tęsknoty za sielanką wczesnej młodości. Ostatni typ wreszcie, to rodzaj fantastycznej powieści awanturniczej, której treścią są polowania na mniej lub więcej egzotyczne zwierzęta. Arcydziełem i wzorem tego typu jest „Stary człowiek i morze” Hemingwaya. Osobny rodzaj stanowią powieści wojenne, które dopiero teraz nabrały prawdziwego rozmachu.

Cowley zdobywa się na uogólnienie, które — jeżeli jest nawet niesprawiedliwe — może posłużyć za punkt wyjścia do ocen bardziej wycieniowanych. Twierdzi on, że całej młodej literaturze amerykańskiej — z wyjątkiem literatury wojennej — wspólny jest kompleks lęku, zawodu i chorobliwej nadwrażliwości. Autorzy zdają się czuć zagrożeni przez otaczającą ich cywilizację i przez niebezpieczeństwa epoki atomowej i zamykają się w wieży z kości słoniowej. Zamiast opisywać rzeczywistość, wdają się w subtelne dociekania psychologiczne, które Cowley nazywa „mikropsychologią”. Uderzający jest zupełny brak zainteresowania dla aktualnych zagadnień politycznych, co Cowley tłumaczy tym, że żyjąc z subwencji i stypendiów, pisarze wolą unikać tematów drażliwych.

Jeżeli dodamy do tego, że młodzi pisarze amerykańscy, nawet najbardziej oryginalni, prowadzą przeważnie tryb życia wzorowego mieszczanina, który żeni się młodo i spędza czas na systematycznej, sumiennej pracy, a rozwodzą się tylko, gdy uzyskują sławę — i to rzadziej niż np. aktorzy filmowi — jeżeli będziemy pamiętali, że hołdują prawie bez wyjątku poglądom liberalnym, tj. umiarkowanie konserwatywnym i że ich główną rozrywką jest... ping-pong — uzyskamy pełny obraz życia literackiego w Ameryce, jaki wyłania się z książki Cowleya.

Znakomity krytyk sam zauważa, że przybysze z Europy uderzeni są izolacją, w jakiej żyją amerykańscy pisarze, którzy zdają się wegetować na marginesie amerykańskiej rzeczywistości. A przecież rzeczywistość ta — w wielkich miastach, w fabrykach, a nawet w laboratoriach (nie mówiąc już o rosnącej z roku na rok kolonii Amerykanów, rozsianej po wszystkich kontynentach) — tętni bujnym życiem, które musi nasuwać nie tylko ciekawe obserwacje, ale nawet problemy natury moralnej, politycznej etc.

Książka Cowleya ma więc także zadanie wychowawcze. Jest to krytyka postulująca, stawiająca wymagania i usiłująca wpływać na literaturę poprzez uświadomienie pisarzom ograniczeń, które sobie narzucili, a które ich krępują. Jeżeli Cowley osiągnie swój cel, czeka nas nowy okres literatury amerykańskiej, ściśle związanej z życiem.

E. A.

Z POLSKICH STOWARZYSZEŃ SPOŁECZNYCH

URQUHART I KAUKAZ W ROKU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

W dniu 26 kwietnia na zebraniu Polskiego Towarzystwa Historycznego w Instytucie Gen. Sikorskiego, dr Peter Brock wygłosił odczyt „Urquhart, Poland and Circassia 1863”. Nim podamy treść odczytu, dobrze będzie powiedzieć wpierw kilka słów o prelegencie i samej osobie Urquharta. Dr Peter Brock, pochodzący z Chanel Islands, po wojnie znalazł się w Polsce, razem z misją kwakrów, spieszącą z pomocą ludności najbardziej dotkniętej przez wojnę. Pobyt dra Brock'a w naszym kraju przedłużył się jednak niespodziewanie, gdyż będąc z wykształcenia i zamiłowania historykiem zainteresował się dziejami Polski, wynikiem czego było ukończenie z tytułem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po powrocie do Anglii, na uniwersytecie w Oksfordzie, pisze drugą pracę doktorską, również z historii Europy Środkowej, tym razem jednak z dziejów narodu czeskiego. Jednak zainteresowania jego polską historią nie kończą się, i kontynuując dalej studia nad nią publikuje szereg prac. Prawdopodobnie, dając wyraz własnym poglądom politycznym, interesuje się najnowszymi dziejami Polski a zwłaszcza historią polskich ruchów politycznych, które określa się mianem lewicowych. Publikuje swoje prace w pismach polskich ukazujących się na emigracji. W „Wiadomościach” pisze o początku ruchu ludowego, o Zenonie Świętosławskim, w „Robotniku” o pierwszych związkach socjalistów polskich w Anglii. Drukuje również w pismach angielskich i amerykańskich. W „The Journal of Modern History” vol. XXV Nr 2) pisze o „Polish Democrats and English Radicals 1832-1862: A Chapter in the History of Anglo-Polish Relation”. Jest to sumienny przegląd, z podaniem nowych szczegółów o polskiej lewicy emigracyjnej w Anglii i jej kontaktów z angielskimi ruchami radykalnymi. Zwrócić wypada tutaj uwagę, że ten rozdział naszej historii nie jest dotychczas wyczerpująco opracowany i praca dra Brock'a będzie ciekawa i dla Polaków. W „Journal of Central European Affairs”: vol. XIII Nr. three) podaje w „The Birth of Polish Socialism” wiele szczegółów z dziejów pierwszej polskiej gromady socjalistycznej w Portsmouth. Na uwagę w tej pracy zasługują przytoczone głosy ówczesnej prasy lokalnej jak: „Portsmouth Herald”, „Hampshire Telegraph”, „Sussex Chronicle”, „The Jersey Argus”, „Jersey Times”. W pracach tych dr Brock korzysta bardzo obficie z opracowań naszych historyków i źródeł polskich przytaczając je niezmiernie skrupulatnie. Nie pomija też prac, które ukazały się w polskich czasopismach, czy w kraju, czy na emigracji. Wspomnieć w tym miejscu wypadnie, że w jednym z niezmiernie licznych odsyłaczy powołuje się na pracę doc. dra Jasnowskiego, która drukowana była w ŻYCIU.

Pominąć nie można mało znanej pracy, która ukazała się w „Bulletin of the Société Jersiaise” (vol. XVI) pt. „A polish «Proscrit« in Jersey”, gdzie w załączniku zamieścił cenny dla polskiej bibliografii wykaz druków, które wyszły spod prasy drukarni Zenona Świętosławskiego w latach 1852-1855. Badania dra Brock'a wśród źródeł angielskich przyniosły rzeczy zupełnie nowe i dotychczas nieznane. W przypadkowo ocalałych w Newcastle-upon-Tyne papierach po Joseph'ie Cowen'ie dr Brock znalazł wiele ciekawych wiadomości dotyczących emigracji polskiej i jej kontaktów z angielskimi ruchami postępowymi. Wynikiem tego była praca w „Slavonic and East European Review” (vol. XXXII Nr. 78) pt. „Joseph Cowen and The Polish Exiles”. We wszystkich tych pracach uderza polskiego czytelnika wielka sumienność i niezwykłe jak dla cudzoziemca zrozumienie spraw polskich i ducha Polaków. Wynikiem badań korespondencji i papierów pozostawionych przez David'a Urquhart'a był wspomniany już odczyt, wygłoszony w Instytucie Gen. Sikorskiego. Nim podam jak najogólniejszy skrót wywodów dra Brock'a na temat roli Urquhart'a w latach naszego powstania styczniowego, przedstawię w kilku słowach postać samego Urquhart'a.

David Urquhart (1805-1877) znany każdemu, kto zetknął się z historią Wielkiej Emigracji, był postacią nieprzeciętną i niezmiernie ciekawą. Poza pracą G. Robinsona nie doczekał się jednak większego opracowania. Po śmierci ojca udaje się z matką w 1817 roku na kontynent, gdzie uczył się w Genewie, przebywał jakiś czas w francuskiej szkole wojskowej, odbywał podróż po Hiszpanii i w 1821 roku powrócił do Anglii. Na owe czasy dość niespodziewanie, jak na członka tak zwanej „society”, pracuje kilka miesięcy jako prosty robotnik przy odlewaniu dział w Woolwich, by potem matrykulować się w St. Johns College w Oksfordzie. Na początku 1827 roku udaje się z Marsylii do Grecji, gdzie na fregacie „Hellas” walczy z Turkami, dosługując się stopnia oficerskiego i kilku ran w bitwie pod Scio. W listopadzie 1828 roku kończy służbę i powraca do Anglii, gdzie zostaje przyjęty przez króla. W listopadzie 1830 roku, w towarzystwie nadzwyczajnego ambasadora Wielkiej Brytanii sir Statforda Canninga, udaje się do Konstantynopola. Poznaje Turcję i pod okiem tak doświadczonego polityka jak Canning zapoznaje się z problemem rosyjskim a raczej przygląda się bliżej ekspansji Rosji na Bliskim Wschodzie. Dochodzi do przekonania, że w interesie Anglii leży uratowanie Turcji i zahamowanie parcia rosyjskiego. Temu celowi będzie wierny przez długie lata, prowadząc często na własną rękę akcję polityczną przeciwko Rosji, walcząc piórem i każdym dostępnym środkiem. Przyznać wypada, że prowadząc w ten sposób akcję przeciwko Rosji naraża się wielu osobistościom z lordem Palmerstonem na czele. W walce tej, naturalnym jego sprzymierzeńcem stają się emigranci polscy. Wchodzi z nimi w bliższe kontakty ku obopólnemu pożytkowi. Jednym z przejawów jego działalności jest właśnie wyprawa w 1863 roku statku z bronią do plemion czerkieskich. Przebieg tej wyprawy i związane z nią sprawy były przedmiotem odczytu dra Brock'a.

Jeszcze w roku 1833 Urquhart z własnej inicjatywy przeprowadza tajne badania nad sposobem handlu angielskiego na wschodnich terenach wybrzeża Morza Czarnego. Od tego czasu zwraca on uwagę na walczące plemiona czerkieskie. W latach sześćdziesiątych ub. stulecia, kiedy walka tych plemion wchodziła w ostatnią fazę próbuje ponownie problemem tym zająć opinię brytyjską. Zbiera w Anglii prywatne fundusze na zakup broni, która ma być wysłana dla Czerkiesów. Zaczynają się splatać ponownie losy Urquhart'a, Czerkiesów i Polaków w dalekim Konstantynopolu. Agentem Urquharta jest Konstanty Łękawski, związany jednak z orientacją Centralnego Komitetu i Rządu Narodowego w Warszawie. Przedstawicielem Hotelu Lambert jest pułkownik W. Jordan, który wypełniając zlecenia Czartoryskiego popiera akcję kaukaską licząc na zaognienie i rozszerzenie się konfliktu. W planach Czartoryskiego miała to być dywersja i odciągnięcie sił rosyjskich z terenów polskich ogarniętych powstaniem. Powstaje cały węzeł i splot konfliktów, w których rozwiązaniu bierze pośredni lub bezpośredni udział Urquhart.

Na broń angielską niezmiernie liczył Z. Miłkowski (T. T. Jeż), gdyż dzięki zbiegowi okoliczności, broń przysłana przez Garibaldiego została przetrzymana i szykująca się z Tulczy wyprawa znalazła się właściwie bez broni. Powstają w związku z wyprawą kaukaską projekty, z których jeden, dość oryginalny, pochodzący z Wydziału Odeskiego Związku Rusi, wyznaczył Miłkowskiemu uderzenie na Odessę i jej opanowanie. Po opanowaniu miasta i portu miało lądować sześć tysięcy czerkiesów, których miał uzbroić statek wiozący broń zakupioną przez Urquharta. Statek ten rzeczywiście wyruszył pod dowództwem Klemensa Przewłockiego (dawny uczestnik powstania węgierskiego, w stopniu rotmistrza I-go pułku ułanów, i późniejszy dowódca pułku u Sadyka Paszy), któremu towarzyszyło kilku oficerów francuskich i angielskich. Niestety, wyprawa nie osiągnęła żadnego z projektowanych celów. Kiedy na stokach Cytadeli ginie wraz z członkami Rządu Narodowego R. Traugutt, dogasają walki szczepów czerkieskich i Przewłocki wraz z kilkoma tysiącami Czerkiesów opuścić musi pole walki. Rosja ponownie tryumfuje i wysiłki Urquharta idą również na próżno.

◆

Ciekawe uwagi padły w czasie dyskusji. Dr Marek Wajsblum podkreślił, że działalność Urquhart'a, tak często odbiegająca od polityki Londynu, byłaby lepiej zrozumiana, gdybyśmy mogli poznać dokumenty India Office. Inaczej bowiem na sprawę patrzał Londyn, inaczej widzieli ją ci, którzy na Bliskim Wschodzie z niepokojem przyglądali się postępom Moskwy. Dr Biegański podkreślił inny moment działalności Urquhart'a. Było nim współczucie dla ujarzmionych i walczących o wolność narodów. Pogląd dra Biegańskiego ma silne uzasadnienie także w późniejszej działalności Urquharta,a a zwłaszcza w jego słynnym apelu do Ojca św. Zebraniu przewodniczył dr prof. M. Kukiel, który dorzucił kilka cennych uwag.

◆

Nawiasem wspomnieć nam tutaj wypada o stosunku Urquhart'a do Kościoła katolickiego. Pere Jullian w liście do kardynała Manninga pisze, że jest on (Urquhart) bliżej katolicyzmu niż sam przypuszcza, i bardziej jest katolicki niż wielu współczesnych katolików francuskich. Sam Urquhart miał wielu bliskich przyjaciół wśród katolików angielskich, ale swój osobisty stosunek do Kościoła kat. uzależniał, niestety, od spraw politycznych. Widząc, że rządy nie postępują sprawiedliwie w stosunku do innych narodów, żądał od Kościoła katolickiego, by swoje Boskie posłannictwo, oparte o prawa moralne, wykazał w wystąpieniu przeciwko wszystkim rządom na świecie. Jeżeli Kościół katolicki to uczyni, wówczas on (Urquhart) będzie katolikiem.

Sposób rozumowania dość niezwykły. Dodajmy do tego niezmierny i osławiony wstręt do Rosji i trudność skwalifikowania jego wystąpień i wypowiedzi i wtedy nie będzie nam trudno zrozumieć, dlaczego ta niezwykła postać Anglika z czasów wczesno-wiktoriańskich nie doczekała się wyczerpującego opracowania, i dlaczego tyle o nim sprzecznych spotyka się sądów.

Wypowiedzi dra Brock'a stały się przyczynkiem nie tylko do poznania stosunku Urquhart'a do sprawy polskiej, ale również do poznania samej osoby Davida Urquhart'a.

Bogdan Niemczyk

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 3 lipca 1955.

NASZE SPRAWY

CUD A POMOC BOŻA

Rok bieżący jest rokiem trzechsetlecia „potopu" szwedzkiego i obrony Częstochowy. Rzecz prosta, ważna ta dziejowa rocznica, tak bliska dzięki Sienkiewiczowi świadomości mas polskiego narodu, świętowana będzie też i pod komunistycznymi rządami w Polsce: wszak jej przemilczeć nie sposób.

Przygotowywana jest w Polsce pewna liczba naukowych wydawnictw historycznych, związanych z tą rocznicą, opartych na nowych badaniach źródłowych i mających na erę „potopu" rzucić nowe światło, a zarazem mających wobec tego historycznego zjawiska ustalić nową postawę.

Nie ma powodu wątpić, że w badaniach tych będzie wiele uczciwego dążenia do wykrycia historycznej prawdy i że badania te wniosą w naszą wiedzę historyczną wiele elementów wartościowych i potrzebnych. Nie ma jednak również wątpliwości — że ogłoszone publikacje nie będą wolne od nacisków ideologicznych reżymu komunistycznego i że w swoich wnioskach i ocenach podciągnięte zostaną do wymagań „linii" komunistycznej propagandy. Więcej nawet: że ukażą się przede wszystkim nie po to, by odsłonić nowy rąbek historycznej prawdy, lecz po to, by na konkretnym przykładzie zilustrować komunistyczną doktrynę, lub przynajmniej, by w ważnej i żywotnej sprawie przeciwstawić się poglądom i ocenom, będącym własnością ogółu polskiego społeczeństwa.

Ukazały się już w prasie krajowej artykuły — które pozwalają nam się zorientować, na czym „linia" propagandy reżymowej w sprawie „potopu" polega.

Na razie zarysowującą się „linię" można określić w ten sposób: polski ogół mniema, że obrona Częstochowy była cudem i że uratowanie się Polski w erze „potopu" było rezultatem cudownej interwencji Bożej i dowodem opieki Bożej nad katolicką Polską; więc zadaniem prasy reżymowej będzie dowieść, że żadnego cudu nie było, że Częstochowa miała wszelkie warunki po temu, by się obronić i że jej obrona nie miała w sobie nic niezwykłego; raczej wydarzeniem niezwykłym była łatwość poprzednich zwycięstw szwedzkich.

Nie wiem, czy na tym się linia propagandowa kończy. Być może ukażą się jeszcze głosy, oświetlające dzieje „potopu" szwedzkiego ściśle wedle marksowskiej doktryny materializmu dziejowego: że dzieje te były przejawem walki klas, bo Szwedzi doznali w Polsce poparcia ze strony magnatów, ale zostali zwyciężeni przez powstanie ludowe i drobnoszlacheckie. Na razie, interpretacja ta jeszcze się na łamach prasy krajowej nie pojawiła, a przynajmniej ja się z nią nie spotkałem. Należy jednak przewidywać, że się pojawi, leży ona bowiem w logice komunistycznej doktryny.

Zostawiam tę drugą interpretację na razie na boku — natomiast chciałbym się zająć bliżej pierwszą, jako już się zarysowującą.

Rzecz prosta, każde dociekania historyczne są rzeczą pożyteczną; nawet dociekania, dyktowane interpretacją w duchu czystej doktryny materializmu dziejowego. Jeśli są prowadzone uczciwie, to znaczy bez intencji fałszowania faktów, a tylko z intencją oceny tych faktów z punktu widzenia danej doktryny, prowadzą one zawsze do jakichś zdobyczy, do wykrycia faktów nieznanych, do zauważenia nieoczekiwanych powiązań, do spojrzenia na to, co się stało, w sposób nowy i oryginalny. Prawda historyczna nie boi się dociekań, nawet przedsięwziętych z powziętym z góry uprzedzeniem. I w szczególności wiedza katolicka nie boi się konfrontacji swych pojęć z poglądami odmiennymi, nie boi się przypatrywania się faktom przez lupę uważnej krytyki, ani rewidowania ocen, o ile są po temu podstawy, ani po prostu: nie boi się prawdy.

Nie można więc nic zarzucić rewizjonizmowi historycznemu w jego wnioskach praktycznych i w jego robocie badawczej. Natomiast można i należy zaatakować same założenia, z których rewizjonizm pochodzi.

Założeniem postawy rewizjonistycznej jest pogląd, że nie było cudu, oraz że kłamstwem, czy też złudzeniem jest rzekoma legenda, która mówi o cudzie.

Otóż założenie to jest fałszywe — gdyż legendy o cudzie nie było i nie ma.

Nikt nigdy nie twierdził, że obrona Częstochowy była cudem w ścisłym znaczeniu. Cud w rozumieniu teologicznym, to jest fakt, który nastąpił wbrew prawom przyrodzonym. Rzecz prosta, obrona Częstochowy cudem takim nie była: nie można jej stawiać w jednym szeregu ze wskrzeszeniem Łazarza, czy z przemianą wody w wino w Kanie Galilejskiej, czy z niektórymi uzdrowieniami w Lourdes — i nikt tego nie czyni; nie czyniły tego nawet nieodpowiedzialne, propagandowe broszury w czasie samego „potopu".

Natomiast mówi się nieraz o cudzie w znaczeniu przenośnym. Mówimy na przykład o bitwie 1920 roku, jako o „cudzie nad Wisłą". Mówimy, że ktoś się cudem uratował na wojnie, czy cudem wyzdrowiał — i przypisujemy to, na przykład, czyjejś żarliwej modlitwie. Oczywiście, nie wszystkie są to prawdziwe cuda, gdyż wiele z nich były to wypadki naturalne, mające przebieg zgodny z prawami przyrody. Ale mamy prawo, a nawet obowiązek, zdarzenie się każdego takiego wypadku przypisać Bożej Opiece, przypisać interwencji Bożej, która nie miała cechy cudownej, ale była tak niezwykła, że obecność palca Bożego czujemy po prostu nieodparcie.

Takie rzeczy nieraz się zdarzają w życiu. Każdy człowiek, wierzący w Boga i ufający Mu, czuje nad sobą Jego Opiekę! I każdy mógłby opowiedzieć jakieś własne przeżycie, kiedy Opieki tej doznał w sposób szczególnie widoczny.

Opowiem takie przeżycie — swoje własne — dla ilustracji.

Uciekłem kiedyś w czasie ubiegłej wojny z niemieckiego obozu jeńców i maszerowałem samotnie szosą wzdłuż Menu. Rzeczy poszły mi źle: byłem bezradny i zrozpaczony. Obawiałem się, że się to źle skończy. Modliłem się żarliwie o ratunek i o Bożą Opiekę.

I nagle — wpadł mi w ręce święty obrazek. To był dla mnie taki wstrząs, — że nawet nie umiem sobie dokładnie odtworzyć w pamięci, jak to było. Zdaje mi się, że wiatr wcisnął mi obrazek wprost do ręki; ale może zresztą się mylę, może po prostu podniosłem go z ziemi. Dość, że nagle znalazłem się na szosie z wizerunkiem Matki Boskiej w ręku.

To nie był żaden cud. Po prostu — ktoś zgubił ten obrazek na drodze i porwał go wiatr. Była to pamiątka Komunii wielkanocnej 1939 roku. U dołu był podpis drukarni: zwyczajnej niemieckiej drukarni Hans Drechser w Krummau a. d. M.

Ale dla mnie w owej chwili to był palec Boży. To było poczucie, że jestem pod Bożą opieką. Nikt mnie nie przekona, że był to tylko przypadek. Znalazłem ten obrazek — bo było potrzeba, bym go znalazł i bym nabrał dzięki temu otuchy. Noszę ten obrazek odtąd zawsze przy sobie i jeśli Pan Bóg pozwoli, będę nosił do śmierci.

Jeśli jakiś ateista zacznie mnie przekonywać, że to nie był cud, zacznie dowodzić, iż drukarnia Hans Drechser rzeczywiście istnieje, iż papier, na którym obrazek jest wydrukowany, nie jest substancją naprzyrodzoną, ale zwykłym wyrobem fabrycznym, iż ludność nad Menem jest katolicka i nie ma w tym nic niezwykłego, że ktoś zgubił na drodze pamiątkę Komunii wielkanocnej — to mu przyznam w zupełności rację. Wszystkie jego wywody będą słuszne, trafne, logiczne. Ale to nie zmienia faktu, że znalezienie tego obrazka przeze mnie nie było zwykłym przypadkiem. Dla mnie — przypadek ten był zdarzeniem, mającym znaczenie szczególne i niezwykłe. Argumentacja owego ateisty chybi celu, rozminie się z istotą sprawy: nie w tym rzecz, że zdarzenie miało cechy przyrodzone, ale że ja osobiście odczułem je jako znak Bożej Opieki.

To samo, co z jednostkami, dzieje się z narodami. Narody modlą się — i modlitwą swoją mogą sobie Bożą pomoc wybłagać. Pomoc ta nie musi być cudem. Może się ona wyrazić w pobłogosławieniu własnym wysiłkom narodu, w dodaniu mu odwagi, energii, rozumu, w daniu mu dobrych wodzów, czy dzielnych żołnierzy. Ratunek może mieć cechy przyrodzone — a jednak naród ten wierzy, że modlitwa jego była wysłuchana.

Co się stało trzysta lat temu w Częstochowie?

Najazd szwedzki nie był tylko najazdem sąsiedzkim. Był on protestanckim zamachem stanu, mającym zburzyć Polskę katolicką. Nie darmo Oliver Cromwell gratulował Karolowi Gustawowi, że obalając Polskę, „wyrwał jeden róg papieżowi". Nie darmo protestanci polscy, a wraz z nimi i niektóre kliki magnackie, związane z sojuszniczką obozu protestanckiego w Europie, Francją, stanęli po stronie najazdu. Operacja była bardzo prosta: królem polskim miał zostać protestant w osobie Karola Gustawa; a potem miał nastąpić rozbiór Polski między państwa protestanckie (plus kozaków). Jak ten rozbiór miał wyglądać, wiemy dzięki tekstowi konwencji w Radnor, zawartej dnia 6 grudnia 1656 roku przez Szwecję, Brandeburgię, Siedmiogród (Rakoczego), kozaków (Chmielnickiego) i Bogusława Radziwiłła. Operacja wykonana została jak przewrót komunistyczny 1948 roku w Czechosłowacji: jako połączenie wewnętrznego zamachu stanu z najazdem. Najazd dlatego był dla Szwedów tak łatwym spacerem, bo miał oparcie w wewnętrznym zamachu stanu. A zamach stanu dlatego się udał tak łatwo, bo był poparty najazdem. Szeroka masa katolicka patrzała na to w osłupieniu — ubezwładniona przez zaskoczenie.

I wtedy nagle i nieoczekiwanie przyszła obrona Częstochowy. Nie była ona — cudem. Kordecki dobrze się przygotował do obrony. Miał dostateczną załogę, dość broni i amunicji. Miał dobry wywiad. Był z pewnością w porozumieniu z Janem Kazimierzem i z Olszowskim, dla których akcji twierdza częstochowska była ważnym punktem strategicznym. Kordecki zachowywał się roztropnie, jak dobry polityk. Korespondując ze Szwedami, działał na zwłokę. Pozornie uznawał fakty dokonane. Ale coraz to znajdował preteksty, by Szwedów na Jasną Górę nie puścić. I gdy w końcu Szwedzi postanowili nieodwołalnie Jasną Górę zająć — zamknął bramy i odpowiedział ogniem swoich dział.

To była iskra, rzucona na proch: hasło do ogólnego oporu. Cała katolicka Polska chwyciła za broń we wspaniałym, katolickim powstaniu.

Powstanie to było zwycięskie. Nie był to cud — ale było to tak cudowne odwrócenie się na pozór beznadziejnej sytuacji, tak nieoczekiwane uwolnienie Polski od „potopu", że trzeba być wielkim materialistą, by nie zrozumieć, iż Pan Bóg Polsce pobłogosławił szczególniejszą Swą Opieką.

POLONUS

PO ŁEPKACH

BURZENIE KRAKOWA

ADAM POLEWKA należy, od dobrych lat trzydziestu, do tego rodzaju pisarzy, którzy ciągle coś obiecują, stale zwracają na siebie uwagę, wiecznie coś zapowiadają, ustawicznie gotowi są do zabierania głosu, a nigdy nic godnego uwagi spod pióra ich nie wychodzi. Aby nie wyjść z obiegu, tacy pisarze posługują się z lubością wytrychem, dziurką od klucza, kopią listów prywatnych, donosem, a zwłaszcza toporkiem i maczugą.

Otóż od dobrej ćwierci wieku Adam Polewka wytyka, piętnuje, przygważdża, odsłania, donosi, oskarża. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że przez całe życie dążył do „Polski ludowej", aczkolwiek i przedtem, w Polsce imperialistycznej, spełniał tę samą co dziś rolę: obiecującego pisarza i namiętnego oskarżyciela, przy tym żyjącego zawsze w zgodzie ze zwierzchnością. W ciągu ostatnich tygodni Polewka zwrócił znowu na siebie uwagę dwoma wystąpieniami: oskarżeniem o nieprawomyślność Adolfa Rudnickiego, którego musiała wziąć w obronę w imieniu partii aż sama „Trybuna Ludu" oraz niewspółmiernie ważką napaścią na Kraków.

Od ćwierci wieku Adam Polewka, zarówno w Polsce burżuazyjnej, jak i ludowej, w miesiącu czerwcu każdego roku produkuje z artystami teatru miejskiego i ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego, raz na dziedzińcu Collegium Maius, raz w Barbakanie, widowisko p. n. „Igrce w gród walą", opus magnum swojego życia. Z racji autorstwa tego przyjemnego widowiska, będącego zlepkiem autentycznych żartów i dialogów żaków średniowiecznych, Polewka powiększył swoją osobą bogatą kolekcję krakowskich zabytków. Wiadomo od lat, że czerwiec, to „Dni Krakowa", że „Dni Krakowa", to „Igrce", a „Igrce", to Polewka. Żadna bodaj tradycja burżuazyjna w Polsce ludowej nie utrzymała się tak niewzruszenie jak Polewka. Słowem Polewka doskonale wyszedł na tradycji Krakowa i miłości mieszczan do przeszłości ich miasta i im, Krakowowi i krakowskim mieszczanom, zawdzięcza swą sławę, a także chleb i przyodziewek od lat wielu.

Z wdzięczności wykwitował swoje miasto przemówieniem przez radio warszawskie w dniu 11 czerwca br., nazywając je „kołtuńskim i biurokratycznym, arystokratycznym i klerykalnym, czarno-żółtym i megalomańskim". Kraków w dobie dwudziestolecia miał i ma jeszcze nadal — wedle Polewki — „pozycję żałosnego kołtuna". Odsiecz przyjdzie dopiero z Nowej Huty.

„Tradycje Krakowa — głosił w radio Polewka — można i trzeba z odwagą selekcjonować... Na tym śmietniku historii plenił się „obskurantyzm i fanatyzm, - tradycje czarno-żółtej lojalności kołtuna i hrabiego, biskupa Ciołka z austriackiej izby panów, prawicowy socjalizm, wijący się jak bluszcz dokoła tronu Habsburgów. Dołączmy do tej kolekcji historycznej faszystę i narodową zdradę, uczczoną przez Hitlera honorową wartą przy krypcie Piłsudskiego."

W króciutkim przemówieniu sześciokrotnie padł wyraz kołtun. Istny kompleks kołtuna.

Za przyszycie się do Rudnickiego dostał Polewka po nosie od zwierzchników, gdyż wyrwał się z inicjatywą prywatną. Ale jego napaść na Kraków nie była pomysłem własnym. To z góry zamówiona i ukartowana robota, jeszcze jeden pocisk na dawnym i szerokim froncie walki rządów komunistycznych z Krakowem.

JEŚLI IDZIE O ZŁĄ SŁAWĘ, z Krakowem mogą się w Polsce równać tylko takie miejscowości, jak nieistniejąca Pipidówka, Grajdołek, Kaczy Dół, Kozienice, Mosina, Kłaj i Kołomyja, aczkolwiek Pipidówce, Grajdołkowi i Kaczemu Dołowi wytykano tylko niski stopień oświaty, Kozienicom i Kłajowi brak bystrej inteligencji obywateli, Mosinie słaby zmysł elegancji, a Kołomyi nieszczególną znajomość angielskich manier. Krakowowi zaś wytykano wszystko. Nie miał Kraków wielu przyjaciół w Rzeczypospolitej. Krakowian zwano krakauerami, centusiami, ludźmi z ciepłych krajów, Galicjakami z Kongresówy, góralami i tam dalej, a w czasie okupacji po Warszawie krążyła bardzo dowcipna anegdota, że Polskę zamieszkują Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Krakowiacy i górale.

Stary Kraków patrzył na te swawole z góry, zwłaszcza że najlepsze dowcipy o nim układali krakowianie. Adolf Nowaczyński np. najchętniej nazywał swe ojczyste miasto Pokrakowem.

Wszystko to wszakże były rodzinne igraszki i złośliwostki. Nikomu w wolnej Polsce nie przychodziło do głowy zaprzeczać starszeństwa historycznego i kulturalnego Krakowowi i jego prymatu w wielu dziedzinach. Każde dziecko polskie było świadome tego, że Kraków jest najstarszym miastem i historyczną stolicą Polski i że dlatego na Wawelu i Skałce znajduje się polski Panteon, że nie ma nigdzie w Polsce piękniejszych budowli, zabytków i zbiorów historycznych, że Uniwersytet Jagielloński nigdy nie przestał być głównym ogniskiem nauki polskiej i dlatego w Krakowie siedzibę miała Polska Akademia Umiejętności, że autorytet księcia metropolity krakowskiego nie wiele ustępował Prymasowi Polski, że Kraków pozostał arbitrem w wielu dziedzinach, a zwłaszcza w sztukach pięknych.

UPARTA WALKA komunistów z Krakowem, to jednakże nie rodzinne sprzeczki. Ich walka z Krakowem jest walką z Polską — z tradycją i polskim stylem życia. Najeźdźcy zabrali Lwów i Wilno, stali się pośrednio sprawcami zburzenia Warszawy, stłumili Poznań. Pozostał im na drodze Kraków, historyczna stolica państwa, jak wyspa wśród potopu. Nieraz w dziejach Bóg powierzał Krakowowi rolę arki narodowej. Wśród piastowskich walk i podziałów Kraków nie przestał być sercem Polski a władanie nim oznaczało zarazem tytuł do królowania nad wszystkimi ziemiami Piastów, w czasie najazdów szwedzkich Kraków z Wawelem bronił się do upadłego tak samo jak twierdza jasnogórska, konfederacja barska ostatni szaniec miała w Krakowie, a sztandar wolności narodu najdłużej powiewał nad Wawelem i Rynkiem krakowskim. Toteż z Krakowa ruszał w bój Kościuszko, i powstańcy roku 1846 z Edwardem Dembowskim, i powstańcy roku 1848, i legiony Piłsudskiego.

Warszawa to najpiękniejsze karty naszych dziejów w stuleciach XIX i XX, lecz Kraków to tysiąc lat potęgi, rozkwitu i złej doli Rzeczypospolitej. Pozostał on ostatnią twierdzą wolnej i niepodległej Polski, dumną stolicą królewską, świadomą swego powołania, a więc przywiązaną do narodowej tradycji i oporną wobec narzuconej doktryny. Tej tradycji i roli postanowili zadać śmiertelny cios najeźdźcy.

W ROKU 1951 „Pax" wydał książkę Pawła Jasienicy, znanego z wysługiwania się rządom komunistycznym, pt „Wisła pożegna zaścianek". W tych reportażach o Kraju po ostatniej wojnie główne światło zwrócone jest na Kraków. Światło albo raczej złowrogi cień. W woalach zachwytów nad architekturą i zabytkami autor wypowiada tę samą myśl co Polewka. „W istocie, po dawnemu senne są i ciche ulice tego grodu. Kto by tu wjechał..., ten w ogóle nie spostrzeże, iż się coś w życiu Krakowa zasadniczo zmieniła." Najwolniejsze na świecie tramwaje, autobusy, do których wchodząc trzeba zdejmować kapelusz, śmieszne pomniczki, starsi panowie w strojach trącących naftaliną i elegancją dawno minionej doby, wspomnienia o cesarzu Franciszku Józefie, itd. na znaną melodię. „Któż to wie? Może pierwsza wojna światowa nie zdołała wcale zakłócić trybu życia krakowian ustalonego jeszcze za Habsburgów, a może nawet nie bardzo udało się to i drugiej?"

Zapomniał p. Jasienica, że nie od razu Kraków zbudowano, a już najmniej budowano go za Habsburgów. Ta „wysepka staroświecczyzny", te „myszką trącące maniery" są pochodzenia nieco dawniejszego od Habsburgów.

„W tym mieście niewiele ruszyło naprzód od roku 1945. W porównaniu z innymi miastami Polski — bardzo niewiele." Zatrzymajmy się na tym zdaniu Jasienicy, bo ono jest istotą walki rządów komunistycznych z Krakowem. Kto mianowicie miał budować po roku 1945? Przecież od tej właśnie pory w Polsce nastały rządy „socjalistyczne", własność prywatną zlikwidowano, a inicjatywę prywatną zaszczuto. Kto miał budować Polskę i Kraków po roku 1945, jak nie rząd komunistyczny? Kto jest wyłącznie odpowiedzialny za zastój i zaniedbania w każdej dziedzinie życia Kraju po tym roku? Otóż oskarżanie Krakowa o senność, o zacofanie, o niebudowanie, o śmieszne tramwaje i niewygodne autobusy itp. nie godzi w krakowian, ale wielkim głosem oskarża reżym! A więc książka Jasienicy jest aktem oskarżenia rządu. „Niemały kawał naprzód zdążyła się już odsadzić Warszawa." A gdyby tak odbudowa Warszawy nie leżała w planach komunistów, wówczas co? Czy miałby prawo jakiś Polewka lub Jasienica drwić z lenistwa, apatii i zapamiętania w przeszłości warszawiaków? A może by Warszawa podniosła się z gruzów wbrew zamiarom komunistów? Jakież bezbrzeżne prostactwo, jakaż demagogia i płaski cynizm biją z tych wszystkich panegiryków o radosnej czerwonej twórczości!

REŻYM POSTANOWIŁ bowiem nie odbudowę, lecz zburzenie Krakowa. Tak, zburzenie! I o tym powinniśmy krzyczeć na cały świat! Bo nie tylko, że w stolicy Piastów i Jagiellonów nie buduje się nic, absolutnie nic pokaźniejszego, ale z całą marksistowską premedytacją rządzący Polską komuniści postanowili doprowadzić do tego, że mury Krakowa po prostu się rozsypią.

Niech mówią fakty! W „Tygodniku Powszechnym" (z 12 czerwca br.) czytamy dosłownie:

„Najautentyczniejsze zabytki krakowskie niszczeją, rozsypują się w proch, ulegają kompletnej ruinie. Czyż nie jest to potwornym i tragicznym wprost w swej wymowie paradoksem, że zamiast wytężyć nasze wszystkie siły i całą energię w kierunku wołających pełnym rozpaczy głosem o pomoc tych żywych kamieni naszego miasta, beztrosko obmyślamy coraz to nowe przebudowy, robimy projekty, eksperymentujemy bez końca?

„Spójrzmy na nasze śródmieście począwszy od Rynku Głównego, zaglądnijmy do sieni i podwórzy domów przy ul. Floriańskiej, Szpitalnej, Mikołajskiej, św. Jana, Brackiej, Grodzkiej, Kanoniczej, nie mówiąc już o Kazimierzu i Stradomiu, rzućmy okiem na zdezelowane okropnie portale (biada portalom przy ul. św. Jana 9, 20 i Garbarskiej 7), na niszczejący drewniany strop kasetonowy w sieni i klatce schodowej przy ul. Floriańskiej 11 (polecam gorąco zrobienie próbnych sond oględzinowych w sieniach i podwórzach domów: pod Rakiem — ul. Szpitalna 7, Hipolitów — pl. Mariacki 3, pod Lwem — ul. Grodzka 32, ul. Floriańska 36), na alarmujący stan attyk: św. Jana 11, Senackiej 7, Kanonicznej 4, na opłakany stan zewnętrznej dekoracji renesansowej kaplicy przy św. Barbarze (groźny stan kaplicy Myszkowskich u oo. dominikanów jest dobrze wszystkim znany), na bezkształtne już bryły figur przy św. Piotrze, na... Ale dajmy pokój wyliczaniom. Można by z tego ułożyć pokaźnych rozmiarów katalog. Nie koniec na tym. Do tego dołączają się ostatnio nowe groźne objawy. Oto w związku z zadawnionymi zaniedbaniami w starym systemie kanalizacyjnym zaczyna szereg budynków w śródmieściu zarysowywać się, ba, z hukiem pękać i częściowo się zapadać."

Dodajmy, że stan Sukiennic jest rozpaczliwy, że w niewiele lepszym stanie są wnętrza kościołów. Tryptyk Wita Stwosza zrabowali najpierw Niemcy, a po nich komuniści, gdyż do tej pory arcydzieło to nie powróciło na ołtarz Mariacki. Wawel trzyma się jako tako, bo go dla swoich celów odbudowali Niemcy.

W obecnym ustroju w Polsce nie ma mowy o prywatnej czy choćby tylko społecznej, a niepaństwowej inicjatywie. Skazany na zagładę Kraków broni się rozpaczliwie. Cóż jednak może? Oto do każdego biletu tramwajowego dopłaca się (pożal się, Boże) po pięć groszy na rzecz konserwacji zabytków. Poza tym Kolegium Konserwatorskie wniosło petycję do Rady Ministrów o pożyczkę. Czekaj tatka latka. Sama przeróbka sieci kanałowej kosztowałaby 200 milionów złotych.

MY TU NA EMIGRACJI bolejemy nad plamkami pleśni na arrasach i nad rdzą na Szczerbcu, a nie wiemy, że Kraków, cały Kraków rozpada się w gruzy, przy wtórze śmiechu Jasieniców i Polewków.

PRZEWROTNA POLITYKA reżymu skazawszy Kraków na zagładę przystąpiła do budowy wielkiego kombinatu przemysłowego i nowoczesnego osiedla w Nowej Hucie. Tam się ma kształtować nowe życie i stamtąd ma nastąpić ostateczne uderzenie na tradycję Krakowa. Nowa Huta pomyślana jest jako miasto przemysłowo-robotnicze, coś jak sowiecki Stalingrad czy Magnitogorsk. Huty, stalownie, fabryki i olbrzymie bloki-klatki. Nie będzie w tym mieście żadnego kościoła, a jeśli pomnik, to Czerwonej Armii, Lenina i Stalina. Ta Nowa Huta pod bokiem Krakowa jest mniej ważna z punktu widzenia przemysłowego, ale ma spełnić rolę jakby olbrzymiej machiny oblężniczej, która w proch skruszy polską tradycję Krakowa. I tak polski Rzym, wzięty w ogień z Nowej Huty i skazany na rozsypanie się, ma podzielić los Kartaginy. „Czy nie w tym kierunku wiatr wieje — pyta z emfazą p. Jasienica — iż stary Kraków z czasem przemienić się może w osiedle względem Nowej Huty służebne?"

„Naród — dalej pisze Jasienica — który po wojnie spotkał się z koniecznością rozwikłania mnóstwa nowych i nie przewidywanych dawniej problemów, który na nowo buduje swą stolicę i właściwie całemu swojemu bytowi nadaje nowy kształt, że naród ten zwrócił baczną uwagę na możliwość radykalnych zmian w życiu jednego prowincjonalnego miasta, pełnego śmiesznych przesądów i obyczajów." Oto i całe credo. W budowie „nowego życia" nie ma miejsca na stary „śmieszny" Kraków.

SĄ, NIESTETY, i wśród nas na emigracji ludzie, którzy nie zastanawiając się nad tym, co czynią, wygłaszają i wypisują niestworzone rzeczy o Krakowie i szerzą oszczercze plotki o jego roli pod okupacją niemiecką. Nie wiedzą, że śpiewają słowa do wrogiej melodii. Bo Kraków, to dziś honor i sprawa całej Polski!

Jan Bielatowicz

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca",** Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem",** 35, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S.A. **BELGIA:** Mme [illegible] **Kułakowska,** 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Prenumerata kwart. 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska** Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Księżnica Polska,** Caiqa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Słapa,** Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks. K. Stolarek, D.M.I.,** 29, Av. Gen. Leclerc, La Fertel-sous-Jouarre, (S. et M.). Prenumerata kwart. 540 frs. **HOLANDIA: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers,** Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service,** 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk,** Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 13 oraz **„Informacja Prasowa",** Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication",** 296, Sheridan Ave., Albany, N. Y., **M. Kijowski,** 13171, McDougall, Detroit 12, Mich oraz **Mme. J. Stojanowska,** 424, Ave. „E", Bayonne, N. J. oraz **„Pomoc" — Eksport — Import,** 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N. Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński,** Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski,** Revinkegatan 13B. Prenumerata kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme. Z. Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C. Roma.

i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.